



Dan Jamie
Lee Jaykroyd
Curtis

Macaulay
Anna Culkin
Chlumsky

PATRICIA HERMES la
podstawie scenariusza
LAURICE ELEHWANY

MOJA DZIEWCZYNA

MOJA DZIEWCZYNA

PATRICIA HERMES na
ptistawie scenariusza
LAURICE ELEHWANY

MOJ
A
DZIEWCZY
NA

przełożył Wojciech Małej



Wydawnictwo ©PUS

Tytuł oryginału angielskiego: *My Girl*

First published by Simon & Schuster Inc. 1991

All rights reserved.

Copyright © 1991 Columbia Pictures, Inc.

Cover art copyright © 1991 Columbia Pictures Industries, Inc.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo

OPUS, Łódź 1992

ISBN 83-7089-000-8

*Dla moich chłopców: Paula, Marka, Tima
i Matthew*

oraz dla mojej dziewczyny Jennifer

P.H.

Rozdział I

Urodziłam się z żółtaczką. A kiedyś byłam w ubikacji na postoju dla ciężarówek i dostałam hemoroidów. I nauczyłam się żyć z kostką kurczaka, która tkwiła mi w gardle od czasu, jak zachorowała babcia — tak, wiele się nauczyłam. Chociaż później martwiłam się, bo czułam, że to rośnie.

Nauczyłam się też żyć w towarzystwie nieboszczyków, których stale mamy w piwnicy i w dużym pokoju. To prawda — tam rzeczywiście są nieżywi ludzie. Przywozi się ich do piwnicy, a potem, kiedy są już przygotowani, ubiera się ich i zanoszą do dużego pokoju. „Harry J. Sultenfuss. Salon” — głosi mosiężna tabliczka na drzwiach naszego domu. To znaczy salon pogrzebowy. To jest właśnie mój dom.

To straszne tak żyć przez cały czas w otoczeniu nieżywych ludzi — martwych i tych, którzy ich oplakują. Zastanawiałam się, czy tata bardzo płakał, kiedy zmarła moja mama. Nie pamiętam tego oczywiście, bo ona umarła zaraz potem, jak mnie urodziła. Staram się jednak nie myśleć o tym.

A zatem mieszkamy razem, ja i mój tata. Tata mnie chyba lubi, ale nie bardzo umie o tym mówić. Myślę, że

wielu ojców nie całkiem potrafi rozmawiać ze swoimi córkami. Tak przynajmniej mówi babcia — to znaczy mówiła, zanim stała się dziwna i całkiem przestała się odzywać.

Tak czy owak, pomyślałam, że nawet przy tym wszystkim, co mnie spotkało, tata zmartwi się tą kostką kurczaka tkwiącą w moim gardle i guzem, który narastał wokół niej. Musiałam mu powiedzieć. To była poważna sprawa.

Byliśmy razem w kuchni, a tata robił kanapki przy oknie. Przyglądał im się marszcząc brwi, jakby miał ułożyć jakiegoś puzzle'a.

— Tato — odezwałam się.

Nic nie odrzekł.

— Tato? — powtórzyłam głośniej.

Wciąż bez odpowiedzi.

— Hej, tato!

— Hm? — chrząknął, ale nawet nie podniósł wzroku znad kanapek.

— Nie chcę cię martwić — powiedziałam — ale wiesz, chodzi o to w moim gardle... wydaje mi się, że to rośnie. Nie mogę dobrze przełykać. Czuję, że to może być rak. Czy myślisz, że umrę?

— Możesz mi podać majonez z lodówki, Vada? — odezwał się.

Najwyraźniej nie usłyszał, co do niego mówiłam. Tak jakbym nie wydała żadnego dźwięku. A może jestem też niewidzialna? Jeszcze tego brakowało, obok raka i hemoroidów.

Wyjęłam majonez i podałam mu. Mruknął: „Dziękuję”, ale nawet nie spojrzął na mnie.

A może człowiek staje się niewidzialny, kiedy żyje wśród nieboszczyków?

Westchnęłam i wyszłam przed dom. Niedługo miał przyjść Thomas J. Jemu mogłam o tym powiedzieć.

Mówiłam mu właściwie o wszystkim. Powiedziałam mu nawet, że jestem zakochana w panu Bixlerze, naszym nauczycielu.

Żałowałam, że nie mogę o tym porozmawiać z babcią. Kiedyś mogłam, ale od paru miesięcy zachowywała się tak, jakbym nie tylko ja, ale wszyscy byli niewidzialni. Widzi tylko jakichś ludzi w swojej głowie i śpiewa im piosenki — czasami na całe gardło.

Usiadłam na ganku i spojrzałam na zegarek. Thomas J. się spóźniał.

Kiedy już byłam pewna, że nie przyjdzie, pojawił się. Zbliżał się do mojego domu na rowerze, a w pewnej odległości za nim jechali na rowerach jacyś chłopcy wrzeszcząc zapamiętałe. Nie mogłam dosłyszeć, o co im chodzi, ale zorientowałam się, że dokuczają mu. Bardzo łatwo jest dokuczać Thomasowi J. — na wszystko jest uczulony i wszystkiego się boi — i właściwie każdy w naszej klasie mu dokucza, nawet ja. Ale nie tak złośliwie. Lubię Thomasa J. Jest moim najlepszym przyjacielem i tak jest od czasu, kiedy babcia i mama Thomasa J., pani Sennett, spotkały się na placu zabaw, a my mieliśmy wtedy po dwa lata.

Thomas J. zahamował tuż przede mną. Stuknął palcem w okulary, które zjechały mu na czubek nosa. Były całe polepione taśmą.

— Jeśli będziesz w nie tak stukał, to rozlecą się w drobny mak — powiedziałam.

— Vada! — zawołał. — Czy to prawda, że pokażesz im je? To znaczy zwłoki?

— Komu?

— Howiemu i Billy'emu.

— O, rany.

Zupełnie zapomniałam. Jakiś tydzień temu, ostatniego dnia szkoły, dokuczali mi, że przyjaźnię się z Thomasem J.

i mówili, że to straszny dzieciuch i tak dalej. Powiedziałam im wtedy, iż nie byłoby tak odważni jak on i nie przysliby zobaczyć nieboszczyka. A kiedy oni na to, że przyjdą, odpowiedziałam, iż muszą zapłacić za taki pokaz.

Oczywiście, nie musieli wiedzieć, że Thomas J. też nigdy go nie widział i że ani razu u mnie nie był, choć od tak dawna się przyjaźniliśmy.

— I pokażesz im? — zapytał Thomas J.

Kiwnęłam głową.

— Jeśli zapłacą.

— Ale dlaczego?

— Co, dlaczego?

— Dlaczego chcesz im pokazać?

Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam mu mówić, że nabijali się z niego. Powiedziałam więc tylko:

— A dlaczego nie?

Howie i Billy podjechali do nas i położyli rowery na trawie.

— No i co? Pokażesz nam? — zapytał Howie.

— No właśnie — zawtórował mu Billy.

— Macie pieniądze? — zapytałam. — Kto chętny?

Podnieśli ręce, tylko Thomas J. się cofnął. Howie i Billy zaczęli grzebać w swoich kieszeniach. W końcu Howie dał mi pięćdziesiąt centów.

— Idziesz, czy nie, Thomas J.? — zapytał Howie.

— Nie — powiedziałam. — On już widział całe

mnóstwo nieboszczyków. Już mu się znudzili, prawda, Thomas J.?

— Nie mogę — powiedział Thomas. — Muszę wracać do domu.

— Bawić się lalkami!? — zakpił Billy.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknęłam. — A gdzie twoje pieniądze? Nie zapłaciłeś.

— Skąd mamy wiedzieć, że naprawdę go nam pokażesz? — zapytał.

— Nie bądź dziecinny — odparłam. — Chcesz to na piśmie, żeby twoja mamusia mogła podpisać?

Spojrzał na mnie, ale po chwili powiedział:

— No dobra, już dobra.

Podał mi ćwierć dolara. Wzięłam, ale nie cofnęłam ręki. Westchnął i dał mi drugą ćwierćdolarówkę.

— Nareszcie! — stwierdziłam. — A teraz idźcie za mną. I ani słowa.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak Thomas J. pedałuje ulicą. Wiedziałam, że po obiedzie zjawi się znowu.

Podeszłam do ganku, a za mną tamtych dwóch. Staralam się ze wszystkich sił coś wymyślić, bo wiedziałam, że akurat teraz nie mieliśmy w domu żadnych nieboszczyków — chyba że jakiś nowy w piwnicy, gdzie tata ich zawsze przygotowuje, ale tam nie miałam zamiaru schodzić.

I wtedy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł, plan tak wspaniały, że mało nie roześmiałam się w głos.

Po cichutku weszliśmy do domu i zaprowadziłam ich do dużej sali we frontowej części domu. Sami mieszkaliśmy od podwórza, a z przodu były pokoje dla nieboszczyków, biura i tak dalej. Uchyliłam drzwi i wprowadziłam ich do sali, gdzie stoją puste trumny do wyboru. Ale oni oczywiście nie wiedzieli, co to był za pokój.

Kiedy weszli za mną, zamknęłam drzwi. W środku było mnóstwo trumien, niektóre zamknięte, inne otwarte. Podeszłam na palcach do jednej z tych zamkniętych, a oni za mną. Położyłam ręce na wieku i stałam tak przez dłuższą chwilę bez słowa.

— Na co czekamy? — szepnął Howie.

Głos zaczął mu wyraźnie drżeć.

— Daję wam jeszcze szansę odejść, jeśli chcecie — odpowiedziałam.

Żaden się nie poruszył.

— Nikt nie tchórzy? — zapytałam.

— Na pewno nie ja — powiedział Billy.

Ale słyszałam, że i jemu głos zaczął drżeć.

Z uroczystą miną odwróciłam się do nich.

— Na pewno? Obaj jesteście na to gotowi?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. I wreszcie Billy przynaglił:

— Otwieraj!

— No dobrze — odpowiedziałam. — Sami tego chce liście.

Odwróciłam się do trumny, położyłam na niej obie ręce i szepnęłam cicho:

— Dobra, nachylcie się.

— Gotowi? — zapytałam.

Skinęli głowami.

Szybkim ruchem zdjęłam pokrywę trumny. Nic! W środku było zupełnie pusto. Jęknęli i odskoczyli.

Miałam ochotę roześmiać się w głos, ale się powstrzymałam. Zasepiłam się, przybierając swoją najpoważniejszą minę.

— Ojej! — opuściłam wieko i zasłoniłam dłonią usta.

— Właśnie tego się obawiałam.

— Czego? — zapytał Billy.

— Czego? — powtórzył Howie.

— Chodzi o to — szepnęłam — że czasami ci ludzie nie są tak zupełnie nieżywi. Wiecie, to tak jak z kurami, którym utnie się głowę, a one wciąż biegają w kółko jak szalone.

— Bajki — powiedział Billy, ale głos drżał mu już na całego.

— To była staruszka — ciągnęłam. — Była tak

stara, że pewnego dnia po prostu przestała oddychać. Ale może znowu zaczęła. Założę się, że teraz krąży tu gdzieś po domu. Chodźmy, może ją znajdziemy. Idźcie za mną.

Podeszłam na palcach do drzwi i wyjrzałam ukradkiem na korytarz. Nikogo tam nie było. Ostrożnie otworzyłam drzwi i kiedy wszyscy wyszliśmy na korytarz, po cichu zamknęłam je za nami.

Ruszyłam przodem przez korytarz do naszej części domu. Starając się zachowywać najciszej, jak potrafię i modląc się w duchu, żeby ją tam znaleźć, otworzyłam drzwi do naszej kuchni i zajrzałam do środka.

Babcia była tam, tak jak się spodziewałam. Siedziała bez ruchu w swoim bujanym fotelu, zupełnie zeszywniała, a jej żyłaste ręce spoczywały na oparciach. Była tak nieruchoma, iż przez chwilę nawet ja pomyślałam, że nie żyje.

Obejrzałam się na Howiego i Billy'ego.

Wlepili oczy w babcię z trudem łapiąc oddech. W gardle Billy'ego coś podskakiwało w górę i w dół i tak zbladł, że byłam pewna, iż zaraz zemdleje.

— To ona — szepnęłam do nich. — Wiedziałam, że tak będzie.

Odwróciłam się do babci. Siedziała sztywno jak martwa, tak jak to robi teraz niemal cały czas.

I nagle, kiedy tak patrzyliśmy na nią, zaczęła się bujać. Za moimi plecami rozległ się stłumiony krzyk. Gdy się obróciłam, tamci wybiegli już przez korytarz do frontowych drzwi.

Przyglądałam im się z uśmiechem. „Ha, zające”. Zobaczmy, czy jeszcze będą się śmiać z Thomasa J., że jest tchórzem!

Potem podeszłam do babci. Założę się, że bardzo

chciałyby wiedzieć, jak ich nastraszyła. Parę miesięcy wcześniej uśmiełały się do łez.

— Cześć, babuniu! — powiedziałam. — Napędziłaś im niezłego stracha.

Nie odpowiedziała.

— Babuniu?

Ukłękałam przed nią i spojrzałam w jej twarz. Nie widziała mnie. A w każdym razie nie okazywała tego.

Bardzo mi jej brakuje. Była dla mnie jak mama. Kiedy byłam mała, długo myślałam nawet, że jest moją mamą. Co jej się stało? Jak ona może tu być i jednocześnie nie być? Żeby choć spróbowała. Zawsze obejmowała mnie i głaskała, a kiedy czegoś się bałam, śpiewała mi i kołysała mnie na kolanach, właśnie w tym fotelu.

Nagle przysłała mi do głowy dziwaczna myśl. Rozejrzałam się wokół, żeby się upewnić, iż nikt nie patrzy. I wtedy jak malutkie dziecko wdrapałam się na jej kolana i zwinęłam w kłębek. Tak jak wtedy, kiedy byłam mała.

— Babuniu? — szepnęłam.

Nawet mnie nie zauważyła. Jej twarz była **pusta** jak u śpiącego niemowlęcia.

— Babuniu — powtórzyłam szeptem. — Czy **mnie** widzisz? Czy wiesz, że to ja tu siedzę?

Ale ona tylko się kołysała.

— Proszę — szepnęłam.

Położyłam jej dłoń na włosach i zaczęłam je gładzić.

— Postaraj się — błagałam. — Spróbuj, proszę cię. Jak się postarasz coś powiedzieć, na pewno ci się **uda**.

Rozdział II

Babcia nie odpowiadała, ale wołał mnie tato. I to głośno. O, rany! Zorientował się, że byliśmy w pokoju z trumnami.

Powoli zeszałam z kolan babci, jeszcze raz pogładziłam ją po głowie.

— Zaraz wrócę — szepnęłam. — Zostań tu, a ja niedługo przyjdę.

— Vada? — rozległo się znów wołanie taty.

— **Już** idę — wrzasnęłam.

— Vada! — krzyczał ojciec. — Czy możesz mi przynieść tu na dół papierosy?

Na **dół**. Tam, gdzie oporządzał nieboszczyków. Ale przynajmniej nie chodziło o to, co robiłam w pokoju z trumnami.

Wzięłam papierosy ze stołu i podeszłam do drzwi prowadzących do piwnicy. Jak zwykle były zatrzaśnięte. Szarpnęłam raz i drugi, pchnęłam je i w końcu się otworzyły. Powoli zeszałam po schodach, ale na ostatnim stopniu zatrzymałam się. Nigdy nie przekraczałam ostatniego schodka.

Tata stał odwrócony do mnie tyłem i pochylał się nad jakimś ciałem umieszczonym w maszynie do balsamowa-

nia. Staralam się nie patrzeć, ale chociaż było to straszne, zerknęłam ukradkiem. Zawsze coś zmuszało mnie, żeby tam spojrzeć, kiedy schodziłam na dół.

Okropność.

Ojcu asystował wuj Phil, który pracuje dorywczo dla mojego taty, pomagając mu przy najgorszej robocie jak balsamowanie i przywożenie zwłok ze szpitali i z kostnic. Poza tym wuj jest barmanem. Byli tak pochłonięci swoim zajęciem, że żaden z nich nie usłyszał, jak schodziłam.

Nie chciałam nic mówić, żeby ich nie przestraszyć. Przecież pracowali przy nieboszczyku. Dlatego kaszlnęłam, cicho i delikatnie.

Phil — odezwał się tato — przesun go trochę w lewo, dobrze?

Wuj Phil przesunął ciało i tato wyłączył maszynę.

— Mówiłem ci, że on był moim nauczycielem?

— zapytał tato. — Prowadził zajęcia praktyczno-techniczne.

— Ty chodziłeś na warsztaty? — zdziwił się wuj.

— Jasne. Zrobiłem wieszak na krawaty.

— Chyba żartujesz! — powiedział wuj. —

To ja

zrobiłem wieszak na krawaty. I podpórki do książek.

Znów zakaszlałam.

— Połóż na stole, Vada — poprosił tato, wciąż nie podnosząc wzroku.

I zejść ze schodów? Nie ma mowy.

Rzuciłam je szybkim ruchem nadgarstka — hop! Dwa punkty. Jak zawodowiec. Kiedyś zostanę gwiazdą koszykówki. Wylądowały tuż obok taty na stole.

— Tatusiu? — odezwałam się. — Wiesz co? Wygrałam wczoraj z Thomasem J. w monopol.

Przez chwilą tata nic nie mówił. A wreszcie powiedział:

— Na sześć krawatów. Wciąż go mam.

— Wujku! — zawołałam.

— Va-da! — odpowiedział.

— Wygrałam wczoraj z Thomasem J. w monopol.

— Świetnie się spisałaś, dziecino — powiedział wuj Phil.

— Jak postawi się hotele na Boardwalk i Park Place, to ma się już wygraną w rękę — stwierdziłam.

— Ja lubię wykupywać linie kolejowe — odparł wuj Phil.

— Vada, my tu pracujemy — rzucił tato.

— Tato — powiedziałam. — Mama Thomasa J. wzięła nas na *101 Dalmatyńczyków*. Cruella porwała wszystkie szczeniaki i chciała zrobić sobie z nich futro.

— Phil, sprawdź mu tętnicę szyjną — odezwał się tato.

Usiadłam na schodku i czekałam. Może zaraz skończą. Wystukałam palcami rytm na stopniu i zaśpiewałam sobie po cichu. Babcia zawsze mówiła, że mam piękny głos.

— Vada! — zawołał tato.

— Słucham, tatusiu?

— Vada, ja tu balsamuję swojego nauczyciela. Nie śpiewaj.

Wstałam. Pod ścianą przy schodach leżała tabliczka. Podniosłam ją i obejrzałam.

— Layton Charles, wiek 60, rak krtani.

Krtań. To znaczy gardło, tak?

On był nieżywy. I miał to samo, co ja — guz w gardle. Może to nie jest kostka kurczęcia. Może to naprawdę rak! Postanowiłam wracać. Zaraz, jak tylko przyjdzie Thomas J., idziemy do doktora Welty.

Kiedy byłam w połowie schodów, rozległ się dzwonek do drzwi.

— Thomas J.!

Ale kiedy otworzyłam drzwi, okazało się, że to wcale nie Thomas J., ale jakaś pani bardzo wymyślnie ubrana. Od razu zorientowałam się, że nie była „prawdziwą damą”, o jakich mówiła babcia, kiedy jeszcze się odzywała.

Ta pani miała na sobie całe kilogramy makijażu, a jej powieki były tak zapaćkane czymś ciemnym, że wyglądała, jakby ją ktoś pobił. Kolczyki zwieszały się jej z uszu do samych ramion.

Włosy miała kręcone we wszystkie strony, a sukienkę tak krótką, jakby jej wcale nie było.

No, no!

— Czy jest pan Harry Sultenfuss? — zapytała.

— To mój ojciec.

— Czy mogłabym z nim porozmawiać?

— Oczywiście — powiedziałam.

— A zatem — odezwałam się uprzejmie, kiedy weszła już do hallu — spotkało panią nieszczęście w postaci utraty kogoś drogiego?

Spojrzała na mnie.

— Co takiego?

— Czy spotkało panią nieszczęście w postaci...

— Czy mogłabym choć na chwilę zobaczyć się z twoim tatą?

Zeszłam na dół i zawołałam:

— Tato! Ktoś przyszedł do ciebie!

— Już idę! — odkrzyknął.

Wróciłam do niej.

— Jest na dole — powiedziałam. Pracuje przy panu Laytonie. Rak gardła. Jak człowieka chwyci coś takiego, to koniec. Nie można jeść ani pić. Umiera się wtedy z głodu.

— Och, tak? — rozglądała się nerwowo dokoła.

Drzwi od piwnicy otworzyły się i ukazał się w nich tata, dopinając jeszcze marynarkę. Kiedy zobaczył tę panią, zrobił swoją poważną, współczującą minę, którą tak często pokazuje. Obcym.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytał.

— Nazywam się Shelly De Voto — powiedziała.

Dzwoniłam kilka dni temu w sprawie pracy dla makijażystki. Mam nadzieję, że to wciąż aktualne?

— Tak, tak — potwierdził tata.

I zobaczyłam, jak ją lustruje — od długich, dynujących kolczyków aż po wysokie obcasy.

— Myślę, że tak — dodał.

Od razu zauważyłam, że ona się zorientowała, o czym ojciec pomyślał, tak samo jak ja. Wyciągnęła z torebki jakiś papier.

— Proszę spojrzeć! Widzi pan? Jestem dyplomowaną kosmetyczką. Chodziłam do szkoły sztuk kosmetycznych i ukończyłam ją jako najlepsza spośród dwudziestki

uczniów. Przez dwa lata pracowałam w salonie

Dino Raphaela, a moi klienci płakali, kiedy powiedziałam im, że odchodzę. I mam...

— Pani De Voto — przerwał jej tata.

— ...bardzo dobry kontakt z ludźmi — ciągnęła dalej, nie zauważając, że on chce coś powiedzieć. — Potrafię ludzi uspokoić i rozluźnić i...

— Pani De Voto! — powiedział tata na tyle głośno, że jej w końcu przerwał. — Ci ludzie są już spokojni

i rozluźnieni — zamilkł na chwilę. — To nie jest salon piękności, ale zakład pogrzebowy.

Shelly spojrzała na tatę, potem na mnie i jeszcze raz na niego.

— Są nieżywi? — wyjąkała w końcu.

Tata i ja skinęliśmy głowami.

— Tak.

— To chyba jakieś żarty! — niedowierzała. — Truposze? Roześmiałam się na głos.

Tata obrzucił mnie groźnym spojrzeniem.

— Zmarli!

— O, rany! — Shelly potrząsnęła głową. — A pomyśleć... W ogłoszeniu było tylko, że potrzebny specjalista od makijażu.

Nagle zaczęła się śmiać.

— To znaczy, że jechałam całą noc, żeby wylądować w zakładzie pogrzebowym?

Tata i ja zgodnie kiwnęliśmy głowami.

— O, rany! — powtórzyła.

Spoglądali teraz na siebie w milczeniu.

Nie widziałam dobrego wyjścia z tej sytuacji. Podeszłam do frontowych drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Przed domem stała furgonetka i samochód kempingowy. Z furgonetki wysiedli dwaj ludzie i skierowali się w stronę naszego domu. Nieśli trumny — małe trumienki, mniejsze od wszystkich, które widziałam do tej pory.

Kiedy weszli na ganek, otworzyłam drzwi.

Tata odwrócił się i zobaczył ich.

— Cześć, George — rzucił. — Zaraz przyjdę —

powiedział do Shelly i do mnie, i poszedł z tamtymi dwoma do pokoju z trumnami.

Stałam przy drzwiach i wyglądałam na zewnątrz.

— Ten samochód kempingowy to twój? — zapytałam Shelly.

— Mój — odpowiedziała.

— Mieszkasz w nim?

— Tak, oczywiście.

A potem dodała:

— Dom pogrzebowy, kto by pomyślał.

— A jak musisz iść do łazienki?

— Co?

— No, jak jesteś w swoim samochodzie.

— Tam jest łazienka.

— To super.

Po chwili tata i tamci dwaj wyszli na korytarz. Pożegnali się i wrócili do mikrobusu.

— Tatusiu? — zapytałam, kiedy już odjechali.

—

Dlaczego te trumny są takie małe? Czy to trumny dla dzieci?

Przez dłuższą chwilę tato nie odpowiadał. A w końcu odparł:

— Ależ skąd.

— To dlaczego są takie małe?

— Są różne rozmiary trumien — powiedział tata. — To jest tak samo jak z butami.

— Tato! — wzięłam się pod boki. — Czy one są dla dzieci?

— Już ci powiedziałem, że nie.

— To w takim razie dla kogo?

Tata spojrzał gdzieś w bok.

— Dla niskich ludzi — powiedział po chwili. — Dla bardzo niskich ludzi.

Nie uwierzyłam mu. Spojrzałam na Shelly. Była zdenerwowana. Widać było, że ona też mu nie uwierzyła. Ciężko westchnęła.

— A co z pracą? — zapytała.

Tata uniósł brwi.

— Wciąż to panią interesuje? Mimo, że...

— Oczywiście. Widzi pan, to nie taki wielki problem, bo... bo...

Widać było, jak stara się ze wszystkich sił coś wymyślić, tak samo jak ja, kiedy muszę znaleźć jakąś wymówkę w szkole. „O, rany, ona naprawdę musi potrzebować pieniędzy” — pomyślałam.

— ...bo, widzi pan — ciągnęła dalej — wszyscy moi klienci w końcu umrą. A wszyscy pańscy kiedyś byli żywi. A zatem mają ze sobą coś wspólnego!

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z siebie. Mnie to przekonało. Ale tato wciąż spoglądał na nią z powątpiewaniem. Gotowa byłam się założyć, że myśli o jej makijażu i całym wyglądzie.

— A zatem — dodała — mogę wykorzystać te same umiejętności!

— Oprócz dobrego kontaktu z ludźmi — zauważyłam.

— Będzie pani ich czesać, robić im makijaż i odbierać telefony — powiedział tata.

— A pensja? — zapytała Shelly.

— Sto dolarów.

— Tygodniowo?

Tata przytaknął.

Ho, ho! Chciałabym mieć sto dolarów na tydzień. Ale nie za tę robotę. Nie robiłabym tego nawet za tysiąc tygodniowo.

— To wszystko jest jak zły sen — tłumaczyła Shelly, pocierając palcami czoło. — Widzi pan, spodziewałam się stu pięćdziesięciu. Sto to mniej niż miałam ostatnio.

A w dodatku ci klienci nie dają napiwków.

Widać było, że tata zastanawia się nad tym.

— Powiedzmy, sto dziesięć — powiedział w końcu.

Shelly wyciągnęła rękę:

— Panie Sultenfuss, umowa stoi.

Tata uściśnął jej dłoń, ale tylko przez chwilę.

— Może pani zacząć od zaraz — zaproponował. — Na imię mam Harry.

Jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie.

— Czy pani tak ubiera się do pracy? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała. — To strój na specjalne

okazje. Obiecuję, że będę o nich dbać. Zasługują na to. To znaczy, są martwi i wszystko, co im zostało, to ich wygląd — przerwała. — Byłabym zapomniała, mam tu swoje referencje.

Wyciągnęła z torebki jakieś papiery i kiedy podawała je tacie, rozsypały się po całej podłodze.

Oboje jednocześnie schylili się po nie. Kiedy się wyprostowali, zauważyłam, że tata dostrzegł to samo, co ja przedtem — sukienkę Shelly, a właściwie to, że jakby jej nie było.

Tato mrugnął do mnie.

I ja uśmiechnęłam się do niego.

Rozdział III

Tato i Shelly weszli do biura, żeby „odwalić papierkową robotę”. Tak nazywał to mój tata.

Thomas J. nie wracał i postanowiłam, że sama do niego wpadnę. Ale okazało się, że już nie muszę go szukać. Siedział na trawniku przed moim domem. Obok leżał jego rower, a Thomas J. wyrывał źdźbła trawy i posypywał sobie nimi nogi, czekając na mnie, jakby był moim pieskiem albo czymś w tym rodzaju.

— Chodź, Thomas J. — powiedziałam. — Idziemy.

— Do wierzby? — zapytał.

— Nie. Musimy pójść do doktora Welty.

Ale on się nie ruszył.

— Po co? — zdziwił się. — Coś się stało?

Nie odpowiedziałam. Gardło bolało mnie okropnie.

— Chodźmy. Proszę cię. Wiesz, że jesteś mi potrzebny.

Kiwnął głową.

— Dobra.

Wskoczyliśmy na rowery i pojechaliśmy na sąsiednią uliczkę do doktora Welty.

W poczekalni nie było nikogo poza panią Randall, pielęgniarką, która siedziała przy biurku.

— Ach, witam. Vada i Thomas J. — skinęła nam

głową. — Cóż takiego cię dziś sprowadza, moja panno? — zapytała.

Zaakcentowała do „dzisiaj”, jakby widziała mnie codziennie. A przecież nie widzi mnie co dzień. Może często, ale nie co dzień.

— Jestem bardzo chora — powiedziałam, nie zwracając uwagi na jej złośliwość.

Westchnęła.

— Usiądź. Zobaczę, czy doktor będzie miał czas cię przyjąć.

Za minutę była z powrotem.

— W porządku, panienko. Pokój numer dwa. Tam, gdzie zawsze.

Kiedy mijałam po drodze gabinet numer jeden, zobaczyłam tam jakieś dziecko w wózku inwalidzkim. Wózek inwalidzki! I małe dziecko. Musi być naprawdę chore. A może umrze? Może jedna z tych małych trumien była dla niego?

Gardło rozboleło mnie jeszcze bardziej.

Wdrapałam się na kozetkę akurat, kiedy wchodził doktor Welty. Doktor jest stary — naprawdę stary. Ma mnóstwo białych włosów i pomarszczoną twarz. Ale chodzi bardzo szybko, jakby był o wiele młodszy. I jest zawsze dla mnie bardzo miły. Zawsze. Nigdy się ze mnie nie śmieje ani nie mówi, że udaję — jak tata, kiedy mi się coś przydarzy. I nie bierze ode mnie pieniędzy za wizyty. Mówi, że jeśli go potrzebuję, mogę przychodzić, kiedy chcę. Kłopot tylko w tym, że czasami wydaje mi się, iż doktor boi się powiedzieć mi, jak bardzo jestem chora.

Podszedł do mnie wielkimi krokami.

— No dobrze, Vada. Zobaczmy, co ci jest.

Nawet nie zapytał, co mi dolega, ale pomyślałam sobie, po co mu podpowiadać? Zorientuje się natychmiast.

Jak zwykle zajrzał mi w oczy, w uszy, a potem w gardło.

Czułam, jak pęcznieje ta kostka kurczaka, choć teraz wiedziałam już, że to nowotwór. Moja krtań.

Kiedy już skończył, zapytałam:

— No i co to jest? Proszę mi powiedzieć, będę dzielna.

Położył mi ręce na ramionach i uśmiechnął się do mnie.

— Jesteś najzupełniej zdrowa, Vada.

— To niemożliwe! — zawołałam. — Mam wszystkie objawy. Moje gardło. Nie widział pan?

Potrząsnął głową.

— I jeszcze tutaj! — pokazałam na moje włosy. — Wypadają mi.

— Vada — zapytał cicho doktor Welty — czy przywieźli dzisiaj do was pana Laytona?

Spojrzałam na swoje buty.

— Tak.

— Musisz się uspokoić. Wiem, że naprawdę się przejmujesz, ale nic ci nie jest. Zupełnie nic.

Starał się mnie pocieszać. Przecież czułam ten nowotwór i to od miesięcy. Dlaczego nie powie mi prawdy? Wolałabym wiedzieć to teraz, niż zadławić się na śmierć w środku nocy. Czy on sobie z tego nie zdaje sprawy?

W poczekalni zawołałam Thomasa J. Wyszliśmy na zewnątrz i wsiedliśmy na rowery.

— No i co powiedział? — zapytał Thomas J.

— Wszyscy lekarze to niedojdy — odparłam.

Gdyby było inaczej, potrafiliby uratować moją mamę.

Przejechaliśmy przez kilka ulic prawie nie odrywając się do siebie. Thomas J. jest dobry w takich chwilach. Wie, kiedy mówić, a kiedy milczeć.

Skręciliśmy w moją ulubioną ulicę wielkimi starymi domami i wielkimi starymi drzewami rosnącymi po

obu stronach. Są tak ogromne, że ich gałęzie stykają się nad drogą. Jedzie się jak w zielonym tunelu z liści.

— Zobacz, Thomas J. — powiedziałam po chwili. — Jadę bez trzymanki.

— Widzę — powiedział, po czym zdjął nogi z pedałów i rozstawił je na boki. — Teraz popatrz — bez nóg.

— No, no! Prawdziwy cyrkowiec.

Thomas J. jest czasami taki dziecinny. Wprawdzie ma jedenaście lat tak samo jak ja, ale jest taki chudy i drobny, że wygląda na osiem. A jeszcze z tymi wielkimi okularami, które powiększają jego oczy, wygląda zupełnie jak sowa. Jest też na wszystko uczulony i dlatego każdy mu dokucza. Kiedyś miał na sobie w szkole wełniany sweter i twarz spuchła mu jak balon. W stołówce musi dostawać specjalne jedzenie bez mleka i jajek, a nawet bez pomidorów czy choćby keczupu. Nie może jeść nawet pizzy! Thomas J. zbiera różne dziwne rzeczy: panczerzyki cykad, motyle, martwe owady i gniazda szerszeni. Ale to mój najlepszy przyjaciel. Rozmawiamy o wszystkim, razem wspinamy się na drzewa i łowimy ryby, a nawet razem bawimy się w „dom”. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek inny na świecie wiedział, że wciąż bawię się w „dom”.

Czasami naprawdę aż się dziwię, że on się nie denerwuje, kiedy mu dokuczam. Ja bym nikomu nie pozwoliła, żeby mi tak dokuczał. Chyba, że on to lubi. A może po prostu przyzwyczaił się.

Byliśmy w połowie ulicy, kiedy nagle zahamowałam gwałtownie.

— Popatrz! — powiedziałam pokazując palcem.

Pan Bixler, nasz nauczyciel, stał na drabinie przy

jednym ze starych domów i malował okno. Pan Bixler! To najlepszy nauczyciel, jakiego kiedykolwiek miałam. Jest młody, nie ma żony i jest naprawdę przystojny. Gdyby się

okazało, że będę żyła, chciałabym wyjść za pana Bixlera. To może głupie, ale wyobrażam sobie czasami, że on zaczeka na mnie i też będzie chciał się ze mną ożenić — to znaczy, kiedy będę dorosła.

— Chodź, porozmawiamy z nim! — zachęcałam Thomasa J.

— Nie chcę rozmawiać z nauczycielem! — odparł

Thomas J. — Jest przecież lato.

Udałam, że nie słyszę.

— Dzień dobry, panie Bixler! — zawołałam.

Pan Bixler spojrzał w dół i uśmiechnął się.

— Panna Sultenfuss! I wspaniały dr J. Jak tam waka cje?

Zszedł z drabiny i podszedł do nas, wciąż trzymając w ręku pędzel.

— Proszę pana, przeczytałam już wszystkie książki zadane na lato.

— Już? Wszystkie? Lato dopiero się zaczęło.

— Tak, ale już przeczytałam. A teraz czytam *Wojnę i pokój*.

— Niemożliwe!

— Naprawdę.

— Ho, ho! — uśmiechnął się. — Nic dziwnego, że jesteś moją ulubioną uczennicą. A ty, doktorze J.?

Nazywał mnie swoją ulubioną uczennicą. Może zaczeka na mnie.

— Jeszcze nie zacząłem czytać — powiedział Thomas J.

— Lepiej weź z niego przykład, Vada. — poradził pan Bixler.

— Dlaczego pan maluje ten dom? Nie wiedziałam, że pan tu mieszka.

— Nie mieszkam. To znaczy nie mieszkałem, bo teraz go kupiłem i remontuję.

— To duży dom dla jednej osoby — zauważyłam. Uśmiechnął się.

— No, nigdy nic nie wiadomo.

— Ach, tak — westchnęłam.

To był cios. On się żeni! Nie zaczeka na mnie.

— Może sobie sprawię jakieś zwierzątko — powiedział.

Spojrzałam na swoją dłoń i zaczęłam obracać pierścionek wokół palca, żeby nie dostrzegł, jaką poczułam ulgę.

— Skąd nauczyciele biorą w lecie pieniądze? — zapytałam. — To znaczy, skąd pan wziął pieniądze na ten dom, skoro pan nie pracuje?

Roześmiał się.

— Od przyszłego tygodnia będę prowadził letni kurs poezji. A zatem trochę pracuję.

— Ile to kosztuje? — zapytałam.

— Dom?

— Nie, ten kurs.

— Trzydzieści pięć dolarów.

— I co się za to ma?

— Mnie. Przez dwie godziny tygodniowo. I rozmowy o poezji.

Jego. Wpatrywałam się w pana Bixlera.

— Kiedy to będzie? — zapytałam.

— Zajęcia? W czwartki po południu. O drugiej — znowu się roześmiał. — Przepytyjesz mnie, Vada.

— No, dobrze. Chyba wrócę do domu i dokończę *Wojnę i pokój*.

— To jest lato! — powiedział machając nam na pożegnanie pędzlem. — Jesteście dziećmi, więc bawcie się.

Wrócił do drabiny, a my z Thomasem J. wsiedliśmy na rowery.

— Co teraz? — zapytał Thomas J. — Może pójdziemy na ryby? Albo na brzoskwinie do sadu? Możemy też poszukać pancrzyków cykad. Założę się, że już je porzuciły.

— Nie — odpowiedziałam, ponieważ przyszedł mi do głowy pewien pomysł, coś, co musiałam zrobić od razu.

Żeby tylko udało mi się namówić tatę.

— Wracam do domu.

— Do domu? — zdziwił się Thomas J.

Skrzywił się.

— Jak to? Przecież jeszcze daleko do obiadu.

— Obiad? Jesteś jak pies. Chodzisz do domu tylko po to, żeby jeść!

Wzruszył ramionami.

Pojechałam, a on został siedząc na rowerze.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że patrzy za mną, popychając palcem okulary — jak gdyby naprawdę nie mógł zrozumieć, że ktoś może iść do domu, jeśli nie przyszła pora na jedzenie.

— Cześć, Thomas J.! — zawołałam. — Nie sikaj na hydrant!

Rozdział IV

Podła. Byłam podła dla Thomasa J. Ale on sam aż się prosi, żeby mu dokuczać. Tak czy owak, nie będzie na mnie długo zły, jeśli w ogóle się zezłościł. A ja musiałam szybko wrócić do domu. Miałam wspaniały pomysł. Żeby tylko tato się zgodził — gdyby udało mi się namówić go, żeby dał mi pieniądze.

Dwie godziny tygodniowo z panem Bixlerem rozmawiając o poezji. Może nawet napisałabym wiersz dla pana Bixlera, o tym, że jestem umierająca. To mogłoby być bardzo romantyczne. A poza tym zawsze uwielbiałam pisanie. Pisałam opowiadania i wiersze nawet, kiedy nie musiałam.

Cieężko jednak będzie namówić tatę, żeby rozstał się z tak dużą sumą, zwłaszcza, że ma płacić Shelly więcej, niż się spodziewał.

Ale było o co walczyć. Gdyby tylko udało mi się trafić we właściwym czasie na jego dobry humor. Muszę po prostu poczekać na najlepszą okazję. Być może właśnie teraz będzie odpowiedni moment, jeśli Shelly dobrze się spisuje.

Rzuciłam rower na trawnik i wbiegłam do domu szukać taty.

Nie było go ani w biurze, ani w mieszkaniu. W kuchni siedziała tylko babcia w swoim bujanym fotelu. Na kuchence coś się gotowało, pewnie tata postawił to wcześniej. Od czasu, gdy babcia zachorowała i przestała gotować, kuchnię zajmował się tato. Martwi się, że nie jest dobrym kucharzem.

Rzeczywiście nie jest. Ale nigdy nie mówię mu tego, żeby go nie urazić.

— Cześć, babuniu! — powiedziałam, choć wiedziałam, że ona nie odpowie. — Gdzie jest tato?

Usłyszałam jakieś odgłosy z piwnicy i zaczęłam się mocować z drzwiami prowadzącymi na dół. Kiedy w końcu puściły, mało nie rąbnęły mnie w głowę.

Z dołu dobiegały głosy — taty, Shelly i wuja Phila.

Wuj Phil zapraszał Shelly do swojego baru. Wuj Phil zawsze zaprasza kobiety do swojego baru.

Zesłam kilka stopni niżej i zajrzałam.

Tata, wuj Phil i Shelly otaczali pana Laytona.

— Tatusiu? — odezwałam się cicho.

— Podpórki do książek — powiedział wuj Phil, spoglądając na pana Laytona. — Z orzecha.

— Ja zrobiłem wieszak do krawatów — powiedział tato.

Co oni robili, popisywali się przed Shelly? Przecież już rozmawiali o tym wcześniej. Wuj Phil jest kobieciarzem — tak przynajmniej zawsze mówi o nim tata.

— Laminowane — dorzucił wuj. — Dostałem najwyższą ocenę.

— Nigdy w życiu nie miałeś takiej oceny — powiedział tato.

Odwrócił się do Shelly.

— Dlaczego nie strzyżesz pana Laytona?

Nie chciałam na to patrzeć. Czmyhnęłam do wyjścia. Ale umierałam z ciekawości, jak Shelly poradzi sobie z nieboszczykiem.

Założę się, że tato też był tego ciekaw.

Zatrzymałam się u szczytu schodów, skąd niczego już nie widziałam, ale mogłam chociaż nasłuchiwać.

— A zatem, do dzieła, panie Layton! — usłyszałam głos Shelly, jak gdyby mówiła do prawdziwego człowieka, to znaczy do prawdziwego żywego człowieka. — Jak pan sobie życzy — na mokro czy na sucho?

Rzuciłam się pędem do mojego pokoju.

Później. Jeśli tata będzie w dobrym humorze, poproszę o te pieniądze przy obiedzie.

Ale przy obiedzie nie miałam okazji go poprosić. Po pierwsze, gulasz był paskudny i choć żadne z nas nie powiedziało tego tacie, wuj Phil oświadczył, że nie może zjeść dużo, bo boi się utyć. Tata powiedział wtedy wujowi, że i tak już jest gruby i chociaż to był żart, widać było, że wujowi zrobiło się przykro. A potem i tacie zrobiło się przykro.

Tato odwrócił się i zaczął karmić babcie łyżką. Po chwili, jak zawsze, babcia pojęła, o co chodzi i sama zaczęła jeść. Ale tato był cały czas czerwony na twarzy, jakby wstydził się tego, co powiedział.

Kiedy już babcia zaczęła jeść sama na dobre, tata i wuj podjęli rozmowę o wypadku drogowym na autostradzie 1-34 i o tym, że jutro przywiozą dwa ciała.

Ciała! Nieżywi ludzie z wypadku. Zastanawiałam się, kto spowodował ten wypadek. Czy temu komuś było przykro — tak przykro jak mnie z powodu mojej mamy?

Na domiar złego babcia nagle zaczęła śpiewać jedną ze swoich piosenek, które nie wiadomo czemu wykrzykuje od czasu do czasu. Tym razem to było *Wszystko jedno*.

Śpiewała na cały głos, a tata i wuj rozmawiali o wypadkach i zwłokach.

A gardło rozboleła mnie jak nigdy dotąd.

Nie było rady. Musiałam im powiedzieć.

— Tato? — odezwałam się.
Na dobrą sprawę musiałam wrzasnąć, żeby przekrzy-
czeć babcię.
— Tato!
Tato spojrzał na mnie wyraźnie zniecierpliwiony.
— Co? — zapytał przykładając dłoń do ucha.
— Tato, moje gardło! — wrzasnęłam. — Pamiętasz, co
ci mówiłam dziś rano? Naprawdę bardzo mnie boli. I jest
coraz gorzej.
Tata tylko pokręcił głową i odwrócił się do wuja Phila.
— Nie cierpię tych z wypadków. Wtedy nigdy
nie
dogodzisz rodzinie.
— Opowiedz coś o tym — poprosił wuj.
Babcia śpiewała dalej.
Wzięłam trochę gulaszu do ust i nagle zadławiłam się.
Naprawdę. Szybko popiłam wodą, ale wciąż się krztusiłam.
Kaszlałam i plułam, a łzy płynęły mi do oczu. Ale nikt
nie stuknął mnie w plecy ani w niczym mi nie pomógł.
Odeszłam od stołu i zanosząc się od kaszlu upadłam na
kanapę akurat w chwili, kiedy z piwnicy wróciła Shelly.
— Zrobiłam mu fryzurę — powiedziała radośnie. —
Wygląda jak Danny Kaye, gdyby był Szwedem...
I wtedy usłyszała, że kaszlę i podeszła do mnie.
— Wszystko w porządku, kochanie? — zapytała stuka-
jąc mnie w plecy.
Potrząsnęłam głową.
Zaczęła walić mnie jeszcze mocniej. Wydawało mi się,
że czuję się od tego jeszcze gorzej, ale przynajmniej starała
się.
Odwróciła się do taty.
— Harry! Coś jej jest!
Tata jadł dalej.
— Ona udaje — powiedział. — Chodź tu,
Vada,
i dokończ swoje brokuły.

Udaje?
— Przyniosę ci wody — powiedziała Shelly. — Za-
czekaj tutaj.
Po chwili była z powrotem z wodą i usiadła przy mnie na
kanapie. Wypiłam wszystko do dna. Naprawdę trochę
pomogło.
— Chcesz jeszcze coś zjeść? — zapytała.
Pokręciłam głową.
— A może włączyć ci telewizor?
Potaknęłam.
Włączyła telewizor i poszła z powrotem do piwnicy.
Dostrzegłam jednak, że wychodząc spojrzała krzywo na
tatę, jakby chciała coś powiedzieć i jakby była zła.
Nagle zobaczyłam coś w telewizji — rewelacja! Powtór-
ka jednego z ulubionych programów taty! To wprawi go
w dobry humor!
— Tato! — powiedziałam. — Zobacz! To twój ulubio-
ny program!
Tata rzucił spojrzenie znad stołu, a potem wstał.
Podszedł do swojego telewizyjnego fotela zabierając ze
sobą talerz i szklanekę wody sodowej.
— Phil, chodź, popatrzysz. To jest naprawdę świe-
tne.
Ale wuj nie ruszył się i dalej siedział koło babci.
Kiedy tato usadowił się już w swoim fotelu, podeszłam
do niego i usiadłam przy nim na podłodze.
Oglądając program tata roześmiał się kilka razy i wtedy
ja też się śmiałam. Gdy uznałam, że tato jest już w do-
statecznie dobrym humorze, pomyślałam, że właśnie nade-
szła odpowiednia chwila.
— Tatusiu? — odezwałam się.
Powiedziałam to bardzo czule.
— Cicho, Vada — rzucił tata i wskazał głową na
telewizor.

Odczekałam minutę i kiedy roześmiał się jeszcze parę razy, spróbowałam znowu.

— Tatusiu? — powtórzyłam cichutko. — Czy mogłabym dostać trzydzieści pięć dolarów?

Nie było sensu owijać w bawełnę.

— To kupa pieniędzy dla małej dziewczynki — powiedział tato spoglądając na mnie i uśmiechając się.

— To na szkołę — powiedziałam. — Letnie zajęcia z poezji.

Tato pokazał na swoją szklankę.

— Czy jest jeszcze woda sodowa? — zapytał i znów wbił wzrok w ekran.

Wstałam i przyniosłam wodę ze stołu, nalałam resztę do szklanki i znów usiadłam przy jego fotelu.

— Mój nauczyciel powiedział, że bardzo dobrze

piszę -- ciągnęłam dalej. — Wiesz przecież, jak ważny jest wczesny początek kariery, tak samo było z tobą. Za czynałeś w zakładzie jako mały chłopak, prawda?

— Nie wiem, dziecinko — powiedział tato.

W roztargnieniu wyciągnął do mnie rękę i poklepał mnie po głowie, jakbym była jego pieskiem. Mimo wszystko było to miłe.

— Możesz trochę zgłosić? — odezwał się po chwili.

Wstałam, podkręciłam gałkę i z powrotem usiadłam obok taty.

— Tatusiu?

Sączyl wodę sodową i co pewien czas wybuchał śmiechem.

— Tylko popatrz! — powiedział, wymachując szklanką w stronę telewizora. — Ten facet jest fantastyczny.

— Tatusiu? — odezwałam się znowu.

— Co?

— Pieniądze. Czy mogłabym je dostać?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

— Może następnego lata — znowu pogładził mnie po włosach. — Hmm — zamruczał — masz bardzo miłe włosy.

— Ale, tato! — wzięłam głęboki oddech. — A może kiedy będziesz szedł na bingo, poszłabym razem z tobą? Może mogłabym wygrać te pieniądze?

— Nie, nie możesz iść na bingo — powiedział tato i znów roześmiał się widząc coś w telewizji. — To jest moja samotna wyprawa. Wiesz o tym.

— To może pożyczylbyś mi te pieniądze? — zapytałam. — Oddam ci.

Tata westchnął.

— Vada, ty zapominasz o pewnych rzeczach, ale ja pamiętam — ujął mnie za brodę i popatrzył na mnie. — W zeszłym miesiącu były skrzypce, jeszcze wcześniej bruchomówstwo, a kiedy indziej żonglerka. Jeśli następnego lata będziesz wciąż zainteresowana pisaniem, to może. Zgoda? Ale nie teraz.

Puścił moją brodę i znowu zatopił się w telewizji.

Westchnęłam i wstałam. Powoli weszłam schodami w górę. Ha!

Zapomniał o tym, jak chciałam zostać czarnoksiężnikiem. Naprawdę porafiłam wspaniale zniknąć.

Rozdział V

Zanim poszłam spać, wyciągnęłam z mojej szafki stary adapter — jedyny jaki mam. Puszczam na nim bardzo stare płyty. Włączyłam swoją ulubioną — *Blues weselnego dzwonu*. Podeszłam do biurka i wyjęłam z szuflady zdjęcie mojej klasy — to z panem Bixlerem w środku. Stoję tam tuż obok niego. Postarałam się o to, kiedy robili zdjęcia.

— Jakoś sobie poradzę — szepnęłam do niego. — Jakoś to zrobię. Zobaczysz.

I na rano już miałam plan, wspaniały sposób na zdobycie potrzebnych mi pieniędzy. Wstałam bardzo wcześnie i poszłam do Thomasa J. zabierając ze sobą moją wędkę. Poprzedniego wieczora zadzwoniłam do niego i powiedziałam, żeby się szykował na ryby, ale nie zdradziłam mu jeszcze, co zamierzam.

Kiedy weszłam do jego domu, Thomas J. był już gotów, tylko musiał jeszcze iść zrobić siku.

— Gramy? — zapytałam, kiedy wszedł do łazienki.

— Pewnie — uśmiechnął się.

Wiedziałałam, co to znaczy — naprawdę musiał iść. Niedobrze.

— Będę liczyła — powiedziałam.

Thomas J. zamknął za sobą drzwi.

Za chwilę krzyknął:

— Dobra, start! Tylko bez wolnego liczenia, żadne tysiąc i jeden czy coś w tym rodzaju.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziałam.

Usłyszałam, że już sika i zaczęłam odliczać, równo, nie za wolno.

— Raz, dwa, trzy, cztery...

— Za wolno! — krzyknął.

— Pięć! — powiedziałam, szybko i głośno. — Sześć, siedem...

Już skończył.

— Siedem — powiedziałam.

— Osiem! — odkrzyknął.

Ale przecież skończył sikać, zanim powiedziałam osiem.

— Siedem — odpowiedziałam. — Doliczyłam do siedmiu.

— Siedem i pół — upierał się.

Wyszedł z łazienki, wciąż dopinając spodnie.

— Niech ci będzie. Siedem i pół. Ale założę się, że potrafiłabym dłużej.

— Zakład — powiedział. — Nie dasz rady nawet sześć.

— No to idę.

Weszłam do łazienki i zamknęłam drzwi na klucz. Potem po cichutku podeszłam do kranu i nabrałam szklankę wody.

— Pospiesz się tam! — krzyknął Thomas J.

— Spokojnie! — powiedziałam. — Dziewczyzny po trzebieją na to więcej czasu.

Z pełną szklanką podeszłam do klozetu.

— Dobra! — zawołałam. — Tylko nie za wolno. Start!

I powoli zaczęłam wlewać wodę do miski klozetowej.

Słyszałam, jak Thomas liczy:

— Raz, dwa, trzy, cztery...

Umyślnie zwalniał.

— Licz! — wrzasnęłam.
— Pięć, sześć, siedem — odliczał powoli ponurym głosem. — Osiem.
— Wygrałam!
Spuściłam wodę i odczekałam tyle, ile trzeba, żeby się ubrać i po chwili wyszłam.
— Wygrałam. Potrafię sikać dłużej od ciebie.
Wyszliśmy razem na ganek po nasze wędkę.
— Ty zawsze wygrywasz — powiedział Thomas J., ale to nie była prawda.
— To dlatego, że moja mama była arabską księżniczką. Oni potrafią zatrzymać wodę jak wielbłąd.
— Nieprawda!
Nagle skoczyłam na niego i przewróciłam go na podłogę. Spadły mu okulary.
Usiadłam na nim i przycisnęłam go do ziemi.
— Powiedz, że moja mama była arabską księżniczką.
— Nie! — krzyknął.
Podskoczyłam na nim.
— Auu! — wrzasnął.
— Powiedz!
Znów podskoczyłam.
— No już dobrze. Była arabską księżniczką.
Podskoczyłam jeszcze raz.
— I najpiękniejszą kobietą na świecie.
— I najpiękniejszą kobietą. Zejdź!
Usiedliśmy oboje, z trudem łapiąc oddech.
Thomas J. odnalazł swoje okulary i nasadził je sobie z powrotem na nos.
Założę się, że moja mama była piękna. To śmieszne, ale nigdy się tego nie dowiem. Widziałam zdjęcia, ale... Zastanawiałam się, czy ciągle jest na mnie zła, tam w niebie.

Nagle Thomas J. podskoczył, chwycił swoją wędkę i zbiegł po schodkach.

— Twoja mama wyglądała jak Mona Lisa! — krzyknął.

Pobiegł w stronę jeziora.

Nie zrozumiałam, dlaczego ucieka. Przecież wiedział, że i tak zawsze go dogonię.

Złapałam wędkę i dogoniłam go już po chwili, przy jeziorze.

Thomas J. chował się przede mną za wierzbę. Ale ja nie miałam już zamiaru go więcej gonić. Bardziej mnie interesował mój plan zdobycia pieniędzy.

— Słuchaj, Thomas J. — powiedziałam. — A co zrobimy... jak złapiemy jakieś ryby? Może je sprzedawać. Damy ogłoszenie o świeżych rybach i napiszemy tam też, że dostawa będzie prosto do domu. Ludzie nie będą musieli chodzić po ryby gdziekolwiek, tylko dostaną świeże prosto z zatoki.

— Z zatoki? — zapytał Thomas J., spoglądając na małe jezioro.

— No, wiesz, o co chodzi. Co ty na to?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Czy ktokolwiek będzie chciał kupić uklejkę?

— Jeżeli złapiemy duże, to tak. A poza tym, może w tym jeziorze są inne ryby. Może tu są... no, nie wiem, pstrągi, czy coś w tym rodzaju.

— Jasne! — powiedział Thomas J. — Może nawet łosoś.

Tego nie wiedziałam. Łosoś przy pływa chyba rzekami, takimi wielkimi, które są na północy, czy jakoś tak? Wszystko jedno. Ważne było zdobycie pieniędzy.

— Po co ci pieniądze? — zapytał.

— Na ten kurs pisarski — odpowiedziałam.

— Chcesz chodzić do szkoły w lecie? — zdziwił się Thomas J. — To z powodu pana Bixlera?

Nie miałam zamiaru mu odpowiadać.

— Właściwie to nie jest szkoła — powiedziałam. — Chodź, idziemy łowić.

Pozakładaliśmy przynęty i zarzuciliśmy wędki.

Siedzieliśmy tak przy naszych kijach dłuższy czas. Ale żyłki zwisały nieruchomo, jakby wszystkie ryby w tym jeziorze pozdychały.

— Nic nie bierze — powiedziałam.

— Może najadły się na śniadanie — powiedział Thomas J. — Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy. Mam pięć dolarów w swince.

— Dziękuję. Ale tak czy tak, brakuje mi wciąż trzydziestu. W końcu coś złapiemy. Zarzucimy wędki przez tamtą gałąź, to będziemy mogli wejść na drzewo.

Przerzuciliśmy żyłki przez jedną z nisko zwieszających się gałęzi wierzby i zostawiliśmy je tak w wodzie.

Wspięliśmy się na drzewo. Thomas J. zaczepił się nogami o gałąź i zwiesił w dół spuszczać ramiona za głowę. Kiedy tak się bujał, spadły mu okulary.

— Spójrz na mnie. Kiedy będę duży, zostanę akrobatą.

— Też mi coś. Potrafię tak samo. I mnie w dodatku nie spadną okulary.

— Dlatego, że ich nie nosisz.

— Dobra, dobra.

Thomas J. wyprostował się.

— Czy można być akrobatą, jak się ma lęk wysoko ści? — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— Dlaczego nie? To można przezwyciężyć. Założę się, że mój tata bał się nieboszczyków, kiedy zaczynał. Ale pokonał ten strach. Ojej, spójrz!

— Gdzie?

— Masz coś. Twój sępławik skacze!

Sępławik Thomasa J. tańczył wkoło, jakby szarpała go wielka ryba.

Zeskoczyłam z gałęzi, a zaraz za mną Thomas J. Ale upadł na ziemię i wylądował na kolana.

To taka niezdara! Zaczął chodzić w kółko szukając okularów, a ja pobiegłam do wody.

— Nie mogę ich znaleźć! — krzyczał Thomas J. — Nic nie widzę! Gdzie one są?

— Zaraz ci pomogę! — odpowiedziałam. — Najpierw muszę ją przyholować.

Chwyciłam jego wędkę i zaczęłam kręcić kołowrotkiem. Po chwili jednak Thomas J. znalazł się przy mnie z okularami na nosie. Wyrwał mi kij i przyciągnął rybę do samego brzegu. To była bardzo mała uklejka, mniejsza nawet od mojej dłoni.

— To tylko uklejka — ■ powiedziałam. — Nikt jej nie kupi. Wyrzuc ją z powrotem do wody.

— Nie lubię dotykać ryb — Thomas J. spojrzał na mnie.

Ja też tego nie lubię i on o tym wiedział. Nie miałam zamiaru mu pomagać.

Kiedy zobaczył, że się nie spieszę z pomocą, rozejrzał się.

— Wiem, co zrobię — powiedział.

Położył rybkę na ziemi, a potem postawił na niej stopę. — Wyciągnę haczyk nie dotykając jej — wyjaśnił. — Tylko patrz.

Pociągnął za żyłkę. Widziałam, jak haczyk szarpie się w rybim pyszczku.

— To ją rani! Nie zabijaj jej — zawołałam.

— Wcale nie mam zamiaru — powiedział Thomas J.

Pociągnął jeszcze raz, delikatniej. Ale rybi pyszczek wciąż rozciągał się na boki.

Odpechnęłam Thomasa J. i podniosłam rybkę. Bardzo delikatnie podważyłam haczyk, aż w końcu ją uwolniłam. Trwało to pewien czas, ale za to nie kaleczyło rybce pyszczka.

Kiedy rzuciłam rybkę z powrotem do wody, nagle żyłka napięła się i haczyk przeorał mi palec.

— Auuu! — wrzasnęłam. — Mój palec!

— Co? — przestraszył się Thomas J.

Podszedł do mnie i próbował zerknąć przez moje ramię, ale odwróciłam się, trzymając kciuk w ustach. Nie chciałam, żeby wiedział, iż prawie płaczę.

— Nic ci nie jest? — zapytał Thomas J.

— Nic, nic. A co z rybką? — zagadnęłam nie odwracając się.

Thomas J. nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Odwróciłam się ciągle ssąc palec. Thomas J. stał na brzegu jeziora i patrzył w wodę.

— Odpłynęła? — zapytałam.

— Tak, tak, nic jej nie będzie — odpowiedział.

Kiedy jednak spojrział na mnie, był cały czerwony na twarzy.

Kłamał, wiedziałam, że kłamie. Zawsze robi się czerwony, kiedy kłamie.

Biedna rybka! Zabiłam ją.

— Chcę ją zobaczyć! — ruszyłam w stronę brzegu.

— Chodźmy już stąd — Thomas J. zaczął mnie

odpychać. — Pokaż mi lepiej swój palec.

Pokazałam mu kciuk.

— Krwawi — powiedział.

— Tak.

I wtedy do głowy przyszedł mi pewien pomysł — coś,

o czym czytałam wiele razy. Ponieważ nie miałam ani brata, ani siostry, ani mamy...

— Zawrzemy braterstwo krwi? — zapytałam, unosząc swój kciuk.

— Nie, nie chcę. Chodźmy już.

— Wystarczy tylko, że rozdrapiasz ten strupek na ramieniu.

— To po ugryzieniu komara.

— Ale będzie krwawić — powiedziałam.

Westchnął. Wciąż stał pomiędzy mną a miejscem, gdzie rzuciłam rybkę do wody.

— A jeśli to zrobię, to pójdziemy?

— Tak.

Thomas J. usiadł i zaczął rozdrapywać sobie strupek na ramieniu. Nawet nie skrzywił się, chociaż musiało go trochę boleć. Zachowywał się jak małe dziecko, któremu kazano coś zrobić.

Trochę mi było głupio i miałam nadzieję, że nie boli go to za bardzo.

Kiedy w końcu ranka zaczęła krwawić, uniósł rękę.

— Dobra. Jest.

— Trzymaj tak — powiedziałam i przyłożyłam palec do jego ranki.

— To jest braterstwo krwi na całe życie.

— Dobrze — zamruczał Thomas J., ale nie wyglądał na zachwyconego.

Wstaliśmy, wzięliśmy wędkę i ruszyliśmy do domu.

— No i co? Jak się teraz czujesz? — zapytałam, kiedy byliśmy już w połowie drogi.

— Mówisz o rance?

Szturchnęłam go.

— Nie, baranie. Chodzi mi o braterstwo krwi.

Przez chwilę nic nie mówił. A potem powiedział:

— A ty?

— Ja cię pierwsza zapytałam.
— Tak samo jak przedtem — nie podnosił wzroku.
Zamilkliśmy.
— A ty? — zapytał w końcu.
— Też tak samo — oznajmiłam, bo zawsze jestem
szczerą wobec Thomas J.
— To nie ma znaczenia — powiedział cicho. — I tak
właściwie jesteśmy jak rodzeństwo.

Rozdział VI

Wróciliśmy do domu akurat w chwili, kiedy Shelly wychodziła na ganek. Przysiadła na schodkach, wyraźnie rozeźlona. Usiadłam koło niej z jednej strony, a Thomas przycupnął z drugiej. Podniosłam leżącą obok piłkę do koszykówki i zaczęłam ją odbijać przed sobą.

— Co się stało? — zagadnęłam Shelle. — Jesteś zła na coś?

— Nie... Ale twojemu tacie nie spodobało się to, co zrobiłam z żoną wielebnego Portera — westchnęła. — Pani Porter wyglądała jak stara nauczycielka, więc podmalowałam jej kolory na policzkach. I miała takie wąskie usta, to zrobiłam je bardziej... zmysłowe!

— No i co? — zapytałam.

Shelly znów westchnęła.

— Twój tata powiedział, że pani Porter nigdy w życiu nie miała zmysłowych ust i że muszę zrobić ją na nowo. I jeszcze powiedział, żebym nie wtrącała się w sprawy między nim a tobą...

— Mną? O co chodziło?

Ale ona tylko wzruszyła ramionami, wyciągnęła z torbki batonik i zaczęła go odwijać.

— Spójrz! — powiedział Thomas J., wyciągając palec. Ulicą szły Megan i Lisa, a za nimi podążała Judy. Megan i Lisa to najładniejsze dziewczyny w klasie — i najbardziej złośliwe. Ale Judy jest miła. Rzecz w tym, że Judy jest nowa i nie potrafi wymyślić nic poza włóczęgiem się z Megan i Lisa. Lepiej niech się uczy, bo skończy tak jak one.

Zatrzymały się przy samochodzie Shelly.

— Popatrz, to Vada i jej mały chłopak — powiedziała Megan, na tyle głośno, żebyśmy ją usłyszeli. — Czy nie wyglądają słodko, kiedy tak grają razem w koszykówkę?

— To nie jest mój chłopak — wrzasnęłam. — I nie gramy razem w koszykówkę. Ja trzymam piłkę do koszykówki. Chyba to jest różnica?

— Założę się, że ona całuje go w usta! — powiedziała Lisa.

Megan zaśmiała się histerycznie, jakby Lisa powiedziała coś najśmieszniejszego pod słońcem. Pokazałam na Thomasa J.

— Myślicie, że pocałowałabym taką paskudę?

— No właśnie! — dodał Thomas J.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie. Baran! Czy nie wie, że sam się obraża?

Nagle odwrócił się ode mnie, jakby właśnie zdał sobie z tego sprawę.

— Zostawmy zakochanych — powiedziała Megan. —■ Mamy ciekawsze rzeczy do roboty.

— Tak, tak — powiedziała Lisa. — Ojciec Judy ma nowe filmy i idziemy obejrzeć wszystkie, jakie będziemy chciały — za darmo!

— Może i ty wpadniesz kiedyś? — zapytała Judy, uśmiechając się do mnie.

Uśmiechnęła się też do Thomasa J.

— Ty też możesz, jeśli chcesz. Mój tata ci pozwoli.

— Och, nie! — powiedziała Megan. — Nie zapraszaj jej. Ona przyjdzie ze swoim chłopcem a on przyniesie te swoje martwe ćmy czy inne robactwo.

Megan znów wzięła Lisę pod rękę i ruszyły przed siebie. Przez chwilę Judy stała i patrzyła na nas zakłopotana, a potem pospieszyła za nimi.

Kiedy odeszły kawałek, usłyszałam, jak Megan i Lisa śpiewają tę idiotyczną, dzicięcą piosenkę „Vada i Thomas J. siedzą na drzewie i się całują. Najpierw miłość, potem ślub, a potem mały Thomas J. w dzieciennym wózku”.

Pokazałam im język. Mogłyby przynajmniej wymyślić coś oryginalnego, a nie śpiewać jak dzieciaki z drugiej klasy. Ale już od lat jest stale to samo. Są zazdrosne, że przyjaźnimy się z Thomasem J. i tyle.

— Chcesz trochę? — zapytała Shelly wyciągając w moją stronę batonik.

Potrząsnęłam głową. To idiotki. Snobki.

— Czekoladki? — Shelly zapytała Thomasa J.

— Nie mogę — powiedział. — Jestem uczulony na czekoladę.

— Na czekoladę? — zdziwiła się Shelly.

— On na wszystko jest uczulony — rzuciłam ze złością.

— Vada, nie przejmuj się tymi dziewczynami — pocieszała mnie Shelly.

Łupnęłam z całej siły piłką o ziemię.

— Ja się nie przejmuję — powiedziałam. — Ale nigdy bym się nie zadawała z tymi snobkami. Ja otaczam się tylko ludźmi, którzy są...

Jacy? Jaki jest Thomas J.?

Nie wiedziałam. Tyle, że był moim przyjacielem. Moim „bratem”. To dlaczego nagle tak rozzłościłam się na niego?

Przez chwilę nikt z nas się nie odzywał.

— Masz śliczny pierścioneek — zagadnęła w końcu Shelly spoglądając na moją dłoń.

— To oczko pokazuje, w jakim jestem humorze — wyjaśniłam.

Też spojrzałam na niego. W zeszłym roku przywiózł mi go z Miami wuj Phil. Oczko powinno zmieniać kolory, z niebieskiego na zielony, szary i czarny, w zależności od nastroju człowieka. Ale właściwie cały czas jest czarny. Tak jak i teraz.

— On jest popsuty — powiedział Thomas J. — Zawsze jest czarny.

— Jest czarny tylko wtedy, kiedy ty jesteś w pobliżu — odparłam. — To ty wprowadzasz mnie w zły nastrój.

— A może czarny oznacza, że jesteś szczęśliwa? — zapytała Shelly.

Wzruszyłam ramionami.

— Chyba nie. Shelly, skąd wziąć trzydzieści pięć dolarów?

— A po co ci te pieniądze? — zapytała Shelly.

— Ona zwariowała — powiedział. — Chce w lecie chodzić do szkoły.

Wykrzywiłam się na niego.

— To nie jest normalna szkoła, ale zajęcia o poezji. Ja chcę być pisarką.

Thomas J. uśmiechnął się.

— Ona chce tam chodzić tylko dlatego, że kocha się w nauczycielu.

— Zamknij się! — krzyknęłam i pchnęłam go, ale nie za mocno.

— Myślę, że będziesz świetną pisarką — powiedziała Shelly.

Może kiedyś nawet napiszesz książkę jak Jacquelin Susann. Prosiłaś już tatę?

— Nie da mi.

— Muszę już iść — oznajmił Thomas J. — Pora na obiad. Powiedziałem mamie, że przyjdę do domu na obiad.

Wstałam i zaczęłam odbijać piłkę na ganku.

— No to idź — rzuciłam obojętnie.

Nie dodałam „Nie sikaj na hydrant”, jak wczoraj, ale pomyślałam to.

Miałam nadzieję, że te głupie dziewczyny odwrócą się i zobaczą, że nie spędzamy z Thomasem J. całego czasu.

Kozłowałam piłką po całym ganku, starając się nie patrzeć na nią — tak jak uczył mnie wuj Phil. Wychodziło mi to coraz lepiej, ale wcale nie było łatwe. Zastanawiałam się, czy zostać koszykarką, kiedy dorosnę. Może będę pierwszą dziewczyną w zawodowej lidze. Dużo nauczyłam się tego lata, zwłaszcza od wuja Phila. On jest naprawdę w tym dobry. Mówi, że kiedyś mało nie trafił do zawodowej drużyny. Tata też lubi koszykówkę. Zawsze ogląda ją w telewizji.

Poćwiczyłam jeszcze trochę kozłowanie bez patrzenia. Zaczynało mi to wychodzić naprawdę świetnie.

Może pokażę to tacie. To zrobi na nim wrażenie.

Otworzyłam wejściowe drzwi.

— Idziesz, Shelly? — zapytałam przez ramię.

— Za chwilę — odpowiedziała.

Weszłam do domu wciąż odbijając piłkę i wciąż nie patrząc na nią.

— Tato? — krzyknęłam.

Nie było odpowiedzi.

Poszłam do naszego mieszkania, ale nikogo tam nie było — ani taty, ani wuja Phila, nikogo. Tylko babcia wolno kołysała się w swoim fotelu.

Drzwi do piwnicy były otwarte.

— Tato? — zawołałam.

Nie odpowiadał.

— Tato, jesteś tam?

I nagle uciekła mi piłka. Odskoczyła i stoczyła się w dół po schodach.

W dół.

Bardzo powoli zeszłam po schodach — ale nie do końca. Jak zawsze, zatrzymałam się na ostatnim stopniu.

— Tato? — zapytałam cicho.

Taty tam nie było, ale ktoś był. To znaczy jakieś ciało. Na stole. Chyba pani Porter, o której mówiła Shelly.

Zgroza.

Ale muszę wziąć moją piłkę. Co robić?

Ciało mi nic złego nie zrobi. Nieżywi ludzie są... nieżywi. Prawda?

Wzięłam głęboki oddech, rozejrzałam się i zeszłam z ostatniego schodka. Pobiegłam ile tchu po piłkę, chwyciłam ją i popędziłam z powrotem schodami w górę, jakby te zwłoki goniły mnie.

Ściskając piłkę stanęłam przy drzwiach. Poczulałam się już bezpieczna. Ciało się nie poruszyło. Ale okazało się, że drzwi są zamknięte!

Zamknięte! Przecież zostawiłam je uchylone. Na pewno.

Przekreśliłam gałkę i pchnęłam.

Nic z tego.

Były zatrzaśnięte!

Rzuciłam się na nie całym ciałem. Ani drgnęły. Za to piłka z powrotem stoczyła się po schodach.

— Na pomoc! — wrzasnęłam. — Wypuście mnie, proszę!

Zerknęłam przez ramię. Z tego miejsca nie widziałam ciała na stole. Poruszyło się?

Znów napałam na drzwi, ale bez skutku.

— Na pomoc! — zaczęłam walić w drzwi. — Pomocy! Pomocy! Ona mnie chce złapać!

Byłam zamknięta.

Śpiewać! Śpiewać! Babcia mówiła, że śpiewanie rozprasza strach.

Znów zastukałam w drzwi.

— Na pomoc! — krzyknęłam. — Proszę!

Zaczęłam jednocześnie śpiewać i płakać. Na pomoc tralala... na pomoc!

Lkałam. O, ja głupia. Gdzie jest tato? Babuniu? Wuju Philu? Czy jest tam ktokolwiek?

Znów rąbnęłam w drzwi. I nagle otworzyły się tak szeroko, że niemal upadłam prosto w ramiona Shelly.

— Shelly! — krzyknęłam.

— Co się stało?

— Moja piłka. Piłka mi wpadła! — szlochałam. — Spadła po schodach i drzwi się zatrzasnęły!

Odwrociłam się i kopnęłam je z całej siły.

Shelly objęła mnie.

— Już wszystko dobrze, kochanie — powiedziała.

Wyrwałam się jej. Babunia. Potrzebowałam babci.

Pobiegłam do niej i wskoczyłam jej na kolana. Położyłam jej głowę na piersiach.

— Babuniu! — krzyknęłam.

Dlaczego nie mogłam powstrzymać się od płaczu? To było takie głupie!

— Vada! — powiedziała Shelly kucając przy mnie. — Vada, wszystko już jest dobrze. Nie bój się. Wiesz, co mówiła moja mama, kiedy się czegoś przestraszyła?

Nie odpowiedziałam. Objęłam mocniej babcie i wciąż szlochałam.

Ale babcia nie przytuliła mnie. Pewnie w ogóle nie wiedziała, że siedzę u niej na kolanach.

Miałam ochotę ją stłuc pięściami. Słuchaj mnie! Mało nie wrzeszczałam. Postaraj się! Wiesz, że jestem tutaj.

— Posłuchaj, Vada — ciągnęła Shelly. — Moja mama mówiła, że muszę zamknąć oczy i wyobrazić sobie najpiękniejsze miejsce na świecie. Gdzie są tęcze, kwiaty i konie do jazdy. Mówiła, że zawsze, kiedy pomyślę o takim miejscu, będę bezpieczna.

— Babunia mówiła, że muszę śpiewać — powiedziałam drżącym głosem. — Mówiła, że wtedy nie będę się bać. Tak mówiła.

— To też jest dobry sposób — zgodziła się Shelly.

— Ale nie pomógł.

— To spróbuj mojego — odrzekła łagodnym głosem Shelly.

Nie potrafiłam. Zbyt się bałam, żeby zamknąć oczy. Zobaczyłam tylko martwe ciało, zwłoki. Kuliłam się u babci na kolanach, ale oczy miałam wciąż otwarte.

— A czego ty się bałaś?

— Ja? Kiedy miałam tyle lat co ty, mój wujek zabrał mnie na *Czarnoksiężnika z Oz*. Widziałaś to?

Kiwnęłam głową.

— Bałam się Munchkinsów.

Usiadłam i spojrzałam na nią.

— Mówisz o tych latających małpach?

— Nie — powiedziała Shelly. O Munczkinsach. Nie mogłam zasnąć, bo zdawało mi się, że są pod moim łóżkiem.

— Ale przecież Munczkinsy są dobre — zdziwiłam się. — Każdy je lubi.

— Wydawało mi się, że mnie zabiorą — powiedziała Shelly. — Chodźmy — wyciągnęła do mnie rękę. — Zostawmy babcię w spokoju. Jesteś za duża, żeby siedzieć u niej na kolanach.

Ześlizgnęłam się na podłogę i wstałam.

Babcia znów zaczęła się powoli kołysać.

Otrzepałam sobie dzinsy.

— Czy w twoim ulubionym zakątku były wierzby? — zapytałam.

— Tak, tam chyba były wierzby — odparła Shelly.

— Dobra — kiwnęłam głową, poprawiłam sobie koszulę. — Już mi nic nie jest — powiedziałam. — Już wszystko dobrze.

Rozdział VII

Przez resztę dnia snułam się po swoim pokoju, starając się dojść do siebie po tym, jak mało nie umarłam ze strachu. Próbowałam też wymyślić jakiś sposób na zdobycie do przyszłego czwartku trzydziestu pięciu dolarów. Wiedziałam, że musi być jakieś rozwiązanie, żeby tylko na nie wpaść. Myślałam o myciu zwierząt domowych, o wyprawdaniu ich na spacer, a nawet zastanawiałam się, czy nie podjąć się opieki nad dziećmi, chociaż nie za bardzo lubię małe dzieci. Ale mimo że tak myślałam, nic nie przychodziło mi do głowy, nawet jedna rzecz, która pozwoliłaby mi zdobyć na czas te pieniądze.

W końcu coś wymyśliłam. Może nie był to pomysł na pieniądze, ale przynajmniej na to, skąd wziąć sam pomysł — wuj Phil. On ma mnóstwo pieniędzy i stale coś wymyśla, żeby zdobyć ich jeszcze więcej. To wprawdzie ma jakiś związek z kobietami, tak przynajmniej mówi tata — ale może będzie miał jakiś pomysł dobry dla mnie.

Wieczorem zesłam na dół do kuchni. Była tam oczywiście babcia, ale ani śladu wuja Phila.

— Gdzie jest Phil? — zapytałam babci.

Ale ona tylko się kołysała.

Podeszłam do niej i położyłam rękę na jej włosach, tak jak poprzedniego dnia.

— Jak się czujesz, babuniu?

Nie odpowiedziała.

— Babuniu? — powtórzyłam. — Spójrz na mnie.

Siedziała pochylona, z głową zwieszoną w dół, jakby przyglądała się swoim butom.

O czym ona myśli? Może czuje się tu samotna?

Ponieważ nie mogłam dostrzec jej twarzy, podpełzłam do niej na czworakach i spojrzałam w górę.

Przez chwilę byłam niemal pewna, że ona też patrzy na mnie i wie, kim jestem.

— Jak się czujesz? — szepnęłam. — Słyszysz mnie?

Mrugnęła okiem.

— Ty mnie słyszysz, prawda? — zapytałam.

I wtedy ona mrugnęła jeszcze raz i wydało mi się, że widzę w jej oczach łzy.

Dotknęłam jej policzków, ale były suche.

— Wszystko już dobrze? Dlaczego nie chcesz nic mówić?

Pogładziłam ją po policzku. Był taki miękki, delikatny, jakby pod nim nie było żadnych kości.

Ale nie dawała jakichkolwiek innych oznak, że mnie słyszy. Jej oczy wydawały się tak puste, jakby nigdy nie były inne.

Wstałam, pogładziłam ją znów po włosach i przyniosłam jej szklankę wody.

Przełknęła kilka łyków. Czasami wydaje się, jakby babcia zauważała tylko wodę, jakby to była jedyna rzecz, którą się interesuje.

Kiedy wypila, wyszłam zamykając za sobą drzwi na klucz.

Musimy tak robić — zamykać babcię na wieczór, kiedy krewni przychodzą oglądać zwłoki, i w dzień, jeśli jest jakiś

pogrzeb, żeby mieć pewność, iż babcia nie zacznie nagle wędrować między ludźmi. Zrobiła tak kilka razy, na początku choroby, i ludzie mało nie poumierali ze strachu.

Potem poszłam do pokoju z trumnami, żeby sprawdzić, czy tam nie ma wuja Phila.

I był tam — stał przed otwartą trumną i trzymał ręce na pokrywie. Po prostu stał i zaglądał do środka.

— Wujku? — odezwałam się cicho.

Odwrócił się gwałtownie.

— Nie strasz mnie — powiedział przykładając rękę do serca. — Dostanę zawału przez ciebie.

Ale uśmiechnął się.

Też się do niego uśmiechnęłam.

Wuj Phil jest naprawdę przystojny jak na starszego faceta. Musi mieć co najmniej tyle lat co mój tata. Walczył gdzieś na jakiejś wojnie, był ranny i ma w głowie metalową płytkę. Tata mówi, że od tego czasu nie jest już taki sam. Tego nie wiedziałam, bo dla mnie był zawsze taki sam. Kiedyś powiedział mi, że złapał raz w głowie radiostację z Oklahomy. To musiało być naprawdę niezłe.

— Wujku? Jak mogę zdobyć pieniądze?

— Pracą — odpowiedział. — Ciężką pracą, tak jak ja.

— Ale jaką? — zapytałam.

— Możesz robić to co ja. To daje niezłe pieniądze.

Zadrżałam. Nie chciałam pracować przy nieboszczykach, to na pewno. I byłam za mała, żeby stać za barem tak jak on.

— Nie chodzi mi o pracę, kiedy będę dorosła, ale teraz — powiedziałam.

Machnął ręką.

— Teraz to się baw! Póki jesteś dzieckiem.

Masz

jeszcze czas martwić się pracą.

Nie pomógł mi. Mówił tak jak pan Bixler.

I nagle przyszło mi coś do głowy.

— Zagramy w warcaby? Na pieniądze. Przyniosę planszę.

— Nie teraz — powiedział wuj. — Właśnie chowam się przed twoim tatą. Chce mnie zapędzić do jakiejś roboty, a ja mam zamiar się zdrzemnąć. Czy babcia jest zamknięta?

Kiwnęłam głową.

— Wujku, czy ona jest na mnie zła? — zapytałam.

— Babcia? Zła na ciebie?

— Nie odzywa się już do mnie. Czy to może przeze mnie przestała się odzywać? Może wiesz, że ma do mnie 0 coś pretensje?

— Vada, ona jest stara. Ona ma demencję.

— Jak długo będzie miała tę demencję?

— Vada, kochanie — powiedział wuj Phil. — Z tego ludzie już nie wychodzą. Wiesz o tym. Tato ci przecież mówił.

— Nigdy? Nie mówił, że nigdy.

Wuj Phil potrząsnął głową.

■— Nigdy.

Znów zajrzał do trumny.

Nigdy? A może czasem? Nigdy już nie ukołyszecie mnie i nie powie, jak kochałaby mnie moja mama i że ona, babcia, kocha mnie najbardziej na świecie?

Nie uwierzyłam, że już nigdy jej się nie poprawi.

— Wujku, pamiętasz, jak babcia tańczyła ze mną? Stałam na jej butach, a ona obracała się w koło i śpiewa liśmy, a tata grał na swojej tubie? Pamiętasz? To było całkiem niedawno. Ty też tańczyłeś.

— Teraz też czasem tańczę! — powiedział.

Przebiegł dłońmi po wyściółce trumny, jakby badał materiał, który ma zamiar kupić. Ciarki mnie przeszły na ten widok.

— Dlaczego jesteś kobieciarzem? — zapytałam go.

— Co? — odwrócił się do mnie. — Gdzie ty to usłyszałaś?

— Tata tak mówi.

— Twojemu tacie odrobina tego na pewno bardzo dobrze by zrobiła.

— Czego?

— Dowiesz się w swoim czasie.

— Czy on jest na mnie zły?

— Kto? Twój tato? Dlaczego miałby być na ciebie zły? O co ci chodzi?

Wzruszyłam ramionami. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego myślę, że tata jest na mnie zły, a w każdym razie nie mogłam znaleźć żadnego poważnego powodu. Skwito- wałam zatem tylko:

— Rzadko ze mną rozmawia.

— Ma mnóstwo spraw na głowie — powiedział wuj Phil. — Od czasu, jak babcia zachorowała, tato ma tyle roboty — pranie, gotowanie, swoją pracę i wszystko inne. Posłuchaj, boli mnie trochę głowa, bądź tak miła i daj mi odrobinę się zdrzemnąć, dobrze?

Zdjął buty, włożył je do trumny, a potem zaczął się gramolić do środka.

— Ty tam śpisz? — zapytałam.

— Jedno z najspokojniejszych miejsc na tym świecie — powiedział uśmiechając się.

Wszedł do trumny i zaczął mościć się w środku, układając głowę na różowej poduszce z atlasu.

Wzdrygnęłam się, ale powiedziałam tylko:

— Dobrej nocy.

— Dobrej, dobrej — odparł z uśmiechem.

Wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi. Dostrzegłam jeszcze, jak naciąga do połowy pokrywę trumny.

Ja on może tam spać? Czy nie boi się, że może nigdy się nie zbudzić? On jest faktycznie dziwny.

Ja na pewno bym się bała, że nigdy się nie obudzę.

Szłam na górę schodami i zastanawiałam się nad tym. Wuj Phil jest miły, ale coś z nim było nie tak. Chyba tata miał rację — zmienił się od czasu, kiedy założyli mu tę płytkę. Nie rozumiał pewnych rzeczy. To niemożliwe przecież, żeby babcia nigdy już ze mną nie rozmawiała. Powiedział tak dlatego, że po prostu nie wiedział, kiedy ona znowu zacznie mówić.

Poszłam do swojego pokoju i usiadłam na łóżku. Kolejny dzień, kiedy babcia się nie odzywa. Kolejny dzień, a ja wciąż nie mam widoków na zdobycie pieniędzy — pieniędzy potrzebnych mi, żeby być z panem Bixlerem.

Rozdział VIII

Następnego ranka bawiliśmy się z Thomasem J. w skakanie przez linę, ale ja wciąż myślałam o tych pieniądzach. Nie miałam pomysłu, skąd je wziąć, a zajęcia zaczynały się już za dwa dni. Obracałam linę umocowaną do słupka, a Thomas J. skakał przez nią, opowiadając mi jednocześnie, jakiego wspaniałego olbrzymiego ślimaka znalazł tego ranka.

— Był wielki jak moja dłoń! — powiedział podskakując.

— Faj! — wdrygnęłam się. Jak — możesz znieść takie pełzające paskudztwa?

— One nie pełzają — odparł Thomas J.

Brakowało mu już tchu, a przy każdym oddechu z jego płuc wydobywał się świst.

— One się ślizgają.

Thomasowi J. nie wolno tak skakać. To źle dla jego astmy, ale on się nie przejmuję.

— Paskudztwo! — powtórzyłam.

— Wcale nie. Są miłe — wystękał Thomas. — Do chodzę już do sześćdziesięciu!

Chciałam żeby już przestał, ale bałam się mu to powiedzieć. Thomas J. strasznie się denerwuje, kiedy myśli, że troszcę się o jego zdrowie.

Myślę, że między innymi dlatego jesteśmy przyjaciółmi, że ja nie traktuję go jak maleńkiego, słabowitego dzieciaka, tak jak wszyscy inni.

Ale nie mogłam pozwolić, żeby tak dyszał.

— Zobacz! — powiedziałam. — Jest Shelly.

Właśnie zajeżdżała przed nasz dom swoim kempinowym samochodem.

— Chodź, zapytamy ją, czy możemy obejrzyć ten

samochód w środku, dobrze?

— Nie, chcę skakać.

Ale jego twarz była już czerwona, prawie purpurowa.

— Chodź, obejrzymy go — upierałam się i puściłam koniec liny.

Thomas J. potknął się.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zawołał.

— Niczego nie zrobiłam — odpowiedziałam.

—

Chodźmy.

Wstał, poprawił sobie okulary na nosie i poszedł za mną do samochodu.

Czekaliśmy, aż Shelly zaparkuje. Kiedy otworzyła drzwi, żeby wysiąść, zapytałam:

— Czy możemy obejrzyć twój samochód?

Spojrzała na zegarek.

— Oczywiście. Mam jeszcze czas. Wejdźcie. Będziemy zwiedzać, proszę wycieczki.

Thomas J. wszedł pierwszy, a ja za nim. Wciąż było słychać, jak świszczę mu w płucach, ale już nie tak głośno.

Shelly weszła za mną.

Pomiędzy kabiną kierowcy a tylną częścią zwieszały się zielone i brązowe sznury koralików. Thomas J. odsunął je i weszliśmy do środka.

Ho, ho! Nieźle. W środku stała maleńka kanapa w kolorze kremowym, biały, drewniany stół z ławą, kilka ściennych szafek, kuchenka i mała lodówka. Na podłodze

leżał dywanik w czerwone i białe paski, a na oknach wisiały białe zasłonki z wyszytymi stokrotkami. Na stole stał pojemnik na słodycze w kształcie psa i jedna czerwona, plastikowa róża w wazoniku. Na ścianie nad stołem wisiał nieduży brązowy zegar z kukułką, a obok niego półka z książkami. Przy małej umywalce były nawet ściereczki. Bardzo mi się tam spodobało! Wszystko wyglądało tak jak w prawdziwym domu, tyle, że było mniejsze i na kółkach.

— A gdzie twoje łóżko? — zapytałam.

Shelly pokazała kanapkę stojącą przy ścianie.

— To się rozkłada — wyjaśniła.

— Och, super — zawołałam. — Naprawdę super.

Chciałabym mieć coś takiego.

— Naprawdę możesz tu spać i jeść? — spytał Thomas.

— Jasne. Nie tylko mogę, ale rzeczywiście śpię tu i jem.

Thomas J. usiadł za kierownicą, chwycił ją mocno i zaczął warczeć udając, że prowadzi samochód.

— Wiozę was do Liverpoolu — oznajmił.

— Do Liverpoolu? — zdziwiła się Shelly.

— Tak — powiedziałam cicho. — On uwielbia Ringo Starra.

— Rozumiem. Czy chcecie może coś do picia? Może wody sodowej?

— Ja tak! — powiedziałam.

Thomas J. wciąż wydawał z siebie dźwięki jadącego samochodu i nie usłyszał jej.

— Thomas J.? — powtórzyła głośniejszym głosem Shelly. — Chcesz wody sodowej?

— Tak, poproszę.

Shelly otworzyła małą lodówkę, wyjęła dwie butelki wody i postawiła je na stole.

Thomas przestał kierować i usiadł naprzeciwko mnie.

Nie był już taki czerwony i — przynajmniej przez stół — nie słyszałam już jego świszczącego oddechu.

— Świetny, prawda? — powiedział. — Chciałabym mieć taki?

Kiwnęłam głową. Pewnie, że tak. Pojechałabym sobie gdzieś czymś takim.

Shelly wyjęła pojemnik na lód i wytrząsnęła z niego kilka kostek do przyszykowanych szklanek.

— Zobacz, jakie małe kosteczki lodu — powiedział Thomas J. poprawiając sobie okulary.

Ale ja oglądałam książkę, którą właśnie zdjęłam z półki. To był jakiś romans, z mężczyzną i kobietą na okładce, którzy patrzyli sobie głęboko w oczy.

Nieźle. Facet był przystojny i wyglądał nawet lepiej niż wuj Phil. I jak patrzył na tę kobietę... Pomyślałam, że na mnie nikt nigdy tak nie spojrzy. Co wcale nie znaczy, że chciałam, żeby tak na mnie patrzyli.

Shelly podeszła ze szklaneczkami z lodem, nalała do nich wody sodowej i podała je nam.

— Nie wiem, czy powinnaś to oglądać — powiedziała do mnie wskazując na książkę. — To chyba za poważne dla ciebie.

Odłożyłam książkę wruszając ramionami i wzięłam szklankę.

Za poważne? Co ona myśli — że jestem dzieckiem?

Shelly odstawiła książkę na półkę. Dostrzegłam, że wszystkie książki, które tam stały, były podobne — romanse, z taką samą różową okładką z mężczyzną i kobietą wpatrzonymi w siebie.

— Wszystkie przeczytałaś? — zapytałam Shelly.

Potaknęła.

— O czym one są? Romanse i tym podobne?

— Żadne „tym podobne” — uśmiechnęła się, a potem dodała: — Są o miłości.

Powiedziała to tak miękko, wspaniale.
— Paskudztwo — odezwał się Thomas J.
— Niekoniecznie — powiedziała Shelly. — Bardzo dobrze się je czyta.
— Czy masz męża? — zapytałam.
— Nie. Jestem rozwiedziona.
— Tata mówi, że to źle, kiedy ludzie się rozwodzą — powiedziałam.
Shelly westchnęła.
— To prawda. Ale czasami też ludzie stwierdzają, że nie mogą dłużej żyć razem.
— Rodzice Megan są rozwiedzeni — powiedział Thomas J.
Shelly odwróciła się i zaczęła poprawiać książki na półce.
Thomas J. wyciągnął rękę i unióś pokrywę od naczynia ze słodyczami, czyli psią głowę.
— Czy mogę sobie wziąć cukierka? — zapytał, ale zaraz zdziwił się: — A gdzie są cukierki? — wyjął rękę z naczynia trzymając garść banknotów.
Shelly odwróciła się.
— Ooo! — zrobiła tajemniczą minę. — Odkryliście moją kryjówkę. Trzymam tu oszczędności.
— Na co oszczędzasz? — zapytał Thomas J. wkładając pieniądze z powrotem do środka.
— Na nic specjalnego. Po prostu odkładam na czarną godzinę.
Dlaczego dorośli mówią takie głupstwa? Co to jest „czarna godzina?”
Nagle nad głową Thomasa J. wyskoczyła z zegara kukiłka. Zakukała raz i z powrotem znikła w swoim domku.
Okropnie się przestraszyłam. Thomas J. też.
Podskoczył i poprawił sobie okulary.

— O, rany. Miałem być w domu na obiedzie. Dziękuję, Shelly. Cześć, Vada.
I wyszedł potykając się po drodze o dywanik. Shelly wstała, poprawiła nogą dywanik, a potem wstawiła szklanekę Thomasa J. do zlewu.
— No dobrze, panno Vada — powiedziała. — Co ty na to, żebyśmy już wyszły?
Wstałam powoli. Bardzo powoli. W mojej głowie rodziła się pewna myśl — - potworna myśl.
— Czy mogę jeszcze skorzystać z twojej łazienki? — zapytałam.
Shelly roześmiała się.
— Każdy chciałby skorzystać z takiej małej łazienki.
— Jasne — odpowiedziałam i też się roześmiałam.
Miałam nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. Usta zeszywniały mi już zupełnie.
— Słuchaj — odezwałam się. Nie musisz na mnie czekać. Tata będzie zły, jak się spóźnisz.
Spojrzała na zegarek.
— Masz rację. Jak będziesz wychodzić, po prostu zatrzasknij drzwi, dobrze?
— Dobrze — odparłam.
Odsunęła zasłonę i wyszła.
Obserwowałam ją przez okno. Miała śmieszny chód — tak kołysała na boki biodrami.
Kiedy już znikła za drzwiami domu, odwróciłam się i podeszłam do stołu.
Serce waliło mi jak szalone. Ale przecież nikt się nie dowie. A ja zwrócę jej te pieniądze. Jakoś. Będę pracować jako opiekunka do dzieci. I będę odkładać wszystkie moje tygodniówki do końca lata. Czyli to nie jest właściwie kradzież.
Ale jeszcze nigdy w życiu niczego nie ukradłam. No, to nieprawda — raz. Pamiętam kiedyś w sklepie zjadłam całą

torebkę cukierków, podczas gdy babcia rozmawiała z panią Sennett. A potem wsunęłam pustą torebkę pod chleb. Ale wtedy miałam pięć lat. A teraz...

Przyłożyłam rękę do gardła. Zrobiło się nagle takie suche. I ten guz... Z trudem przełknęłam ślinę.

Ale przecież zwrócę te pieniądze.

Sięgnęłam do naczynia i wyjęłam plik banknotów.

Przeliczyłam je szybko, żeby nie zabierać więcej, niż potrzebowałam.

Wzięłam trzydzieści pięć dolarów, trzy dziesiątki i pięć jedynek, a resztę wepchnęłam z powrotem do naczynia. Wciąż było tak samo ciężkie i wyglądało na pełne. Tak ułożyłam resztę banknotów, że zdawało się nawet, jakby było ich teraz więcej.

Ona wcale się nie zorientuje. Tak naprawdę to nie była kradzież, skoro miałam zamiar zwrócić te pieniądze.

Nie wiadomo dlaczego, przypomniało mi się nagle pewne zdarzenie. Byłam wtedy w drugiej klasie. Poszliśmy na basen i tam pod jednym z pryszniców znalazłam kulę włosów i nie wiem czemu, zjadłam ją. Wiem jednak, że smakowała lepiej niż olej rycynowy, który później kazała mi wypić pani Baublitz.

To dziwne, że właśnie w tej chwili mi się to przypomniało. Nikt jednak nie każe mi teraz pić rycyny czy czegoś w tym rodzaju. To nie było aż tak złe jak zjedzenie kuli z włosów. To po prostu pożyczanie pieniędzy. Pożyczka.

Rozdział IX

W czwartek wyczekałam w domu prawie do samej chwili rozpoczęcia zajęć i pognałam do szkoły. Zapisałam się na kurs i wpłaciłam pieniądze — trzydzieści pięć dolarów. Przez moment strasznie bałam się, że ta pani zza biurka zapyta mnie, skąd wzięłam aż tyle pieniędzy. Jak powiedział tata, to było mnóstwo forsy dla dzieciaka.

Ale ona nawet nie spojrzała na mnie. Powiedziała tylko:

— Pokój sto czterdzieści dwa. Za rogiem po prawej stronie.

Dała mi też karteczkę, na której było napisane, że wolno mi chodzić na te zajęcia i małą, przypinaną wizytówkę.

Napisałam na niej swoje imię i przypięłam ją do koszuli. Potem poszłam korytarzem i skręciłam za róg do pokoju 142.

To była wielka sala z mnóstwem okien i drzwiami prowadzącymi na dziedziniec, na którym rosły drzewa.

W sali było już sporo ludzi. Pan Bixler stał przy biurku i przeglądał jakieś papiery. Nie widział, jak wchodziłam.

Był ubrany w dżinsy i sportową koszulkę, nie tak jak w szkole w marynarkę i krawat, mniej więcej tak jak wtedy, kiedy malował okna. Zaczęłam się zastanawiać, czy

w szkołach dla dorosłych obowiązują inne zasady niż w szkołach dla dzieci. Byłam też ciekawa, czy sprawił już sobie jakieś zwierzątko.

Po cichutku usiadłam na krześle. Pan Bixler jeszcze mnie nie zauważył.

Spojrzałam na siedzących wokół ludzi. Niektórzy wyglądali naprawdę dziwnie, i wszyscy byli starzy. Nie było nikogo choćby z grubsza w moim wieku. Nie było też żadnej kobiety na tyle ładnej, żeby spodobać się panu Bixlerowi, choć jedna mogła za taką uchodzić. Na jej tabliczce było napisane „Ronda” i miała długie czarne włosy, długą spódnicę, obcisłą koszulę ściągniętą pasem i długie buty. Długie buty w środku lata! Chyba przyszła razem z tym niechlujnym facetem, który miał napisane na tabliczce „Justin”. Był brodaty i miał na szyi wisiorki, takie jakie noszą dziewczyny. O, rany! Czy pożyczył je od Rondy? Tak czy owak, jeśli ona była z nim, to mogłam mieć pewność, że nie będzie lecieć na pana Bixlera.

Rozmawiali z dwoma innymi ludźmi, z których jeden nazywał się Charles, a drugi Ray.

Charles był chudzielcem ze spiczastym nosem i spiczastą brodą. Nawet jego łokcie i nadgarstki były spiczaste. Na nosie miał okulary w cienutkich srebrnych oprawkach, zupełnie inne niż te toporne plastikowe obrycze, które nosił Thomas J. Wyglądał na księgowego.

Ray był niski i puciołowaty. Miał miłą twarz i przypominał trochę świętego Mikołaja bez brody. Ale miał też brudne paznokcie i dłonie. Mogłam się założyć, że był mechanikiem samochodowym czy kimś w tym rodzaju. Przy sąsiednim stoliku siedziała jakaś pani, Betty, wyglądająca na umęczoną matkę. A obok niej zajmowała miejsce pani Hunsacker! Pani Hunsacker? To bibliotekarka z naszego miasteczka i ma chyba ze sto lat! Po co jej zajęcia z poezji?

Było też sporo innych ludzi, ale siedzieli z tyłu i nie mogłam ze swojego miejsca dojrzeć ich tabliczek. Nie mogłam się nadziwić, dlaczego aż tylu ludzi przyszło na ten kurs w środku lata. Próbowałam też domyślić się, ile płacą za to panu Bixlerowi.

Byłam tak podniecona, że jestem tutaj. Razem z nim, ale nie w zwykłej szkole. Zastanawiałam się, czy pan Bixler się ucieszy, kiedy zobaczy swoją ulubioną uczennicę.

Miałam nawet przygotowany wiersz, tak na wszelki wypadek.

Czy te trzydzieści pięć dolarów idzie wprost dla niego? A może dla szkoły i dopiero ona mu płaci? Tak czy owak, nie dostaje chyba dużo pieniędzy.

Myśl o pieniądzech znowu wprawiła mnie w zdenerwowanie. Ale przecież oddam je Shelly.

Po chwili pan Bixler poprosił wszystkich, żeby usiedli. Powiedział to tak miło jak zwykle, tak jak mówi do dzieci w klasie. To właśnie jest wspaniałe — do dzieci mówi jak do dorosłych i do dorosłych jak do dzieci, do wszystkich łak samo.

Kiedy wszyscy usiedli i ucichli, pan Bixler zaczął czytać z kartki, którą trzymał w ręku.

— Wielka droga nie jest trudna dla tych, którzy wyzbyli się namiętności — zabrzmiał jego miękki, niski głos. — Kiedy nie ma miłości i nienawiści, wszystko staje się jasne i proste.

Odłożył kartkę i z poważną miną spojrzał na zebranych.

— Jak sądzicie, co poeta chciał nam tu powiedzieć?

Wszyscy gapili się na niego nie wiedząc, o co chodzi.

O, rany! Dorośli zachowują się tak samo jak dzieci w klasie.

Podniosłam rękę.

I pan Bixler mało nie spadł z krzesła.

— Vada? Vada Sultenfuss? Co ty tu robisz?
— Biorę udział w zajęciach — odpowiedziałam. — Zapłaciłam za kurs. A poecie chodzi o to, że jeśli nie przejmujesz się nikim, to nie ma problemu. Kłopot po wstaje dopiero wtedy, kiedy naprawdę cię ktoś obchodzi.
Wpatrywał się we mnie bez słowa.
— Chcę być pisarką — powiedziałam.
— Ale to są zajęcia o poezji dla dorosłych — odparł.
Chciałam mu odpowiedzieć: „Cóż, jestem dorosłą poetką”, ale oczywiście nie zrobiłam tego. Bałam się, że mnie wyrzuci. Czy mógł mnie wyrzucić — skoro to były zajęcia tylko dla dorosłych poetów?
— Hej! — powiedział Justin bawiąc się swoimi wisiorami, jakby chciał, żeby wszyscy je dostrzegli — albo jego. — Myślę, że to jest naprawdę wspaniałe. Ona chce pisać wiersze.
— Wytrwałości — powiedziała Ronda i uśmiechnęła się do mnie. Miała naprawdę śliczny uśmiech.
Pan Bixler wciąż mi się przyglądał.
— Czy... czy jesteś pewna, że chcesz tu przychodzić? — zapytał.
Potaknęłam. Chciałam, żeby już przestał urządzać to przedstawienie! Czy on myśli, że dzieci nie potrafią pisać wierszy?
— A więc dobrze, skoro jesteś tego pewna, witamy w naszej grupie.
No. Wreszcie jakieś miłe słowo dla jego ulubionej uczennicy.
— A zatem — kontynuował pan Bixler, przenosząc w końcu wzrok na klasę. — A zatem, na tych zajęciach będziemy się przyglądać uczuciom, uczuciom wyrażanym przez poetów, znanych i mniej znanych, a także naszym odczuciom wyrażanym w poezji. Chciałbym, żebyście pisząc wiersze wyrażali nie tylko swoje doświad-

czenia, ale przede wszystkim uczucia. A to, co czytałem przed chwilą, mówi nam, że kiedy człowiek nie ocenia, łatwiej mu zrozumieć rzeczywistość. Słuchajcie wierszy swoich kolegów z otwartym sercem. Kto chce spróbować pierwszy?

Odezwała się Betty.

— Ja napisałam wiersz, ale mój syn wylał na niego zupę pomidorową.

— Dobrze zrobił — zamruczał Charles.

— Naprawdę! — powiedziała Betty i poczerwieniała.

Ray podniósł rękę.

— Ja coś mam — powiedział, po czym wstał i zaczął czytać: „Zaśpiewałem ci pieśń, abyś słuchała, namalowałem obraz, abyś go obejrzała, zerwałem różę, abyś ją powąchała, zasiałem trawę, abyś jej dotykała. Ale ty nie słuchałaś mojej pieśni. Nie obejrzałaś mojego obrazu. Nie powąchałaś mojej róży. Nie dotknęłaś mojej trawy”.

Nagle odezwała się pani Hunsacker:

— Może nie było jej akurat w mieście.

— Kogo nie było w mieście? — zdziwiłam się.

Nie wiadomo czemu, Charles się zdenerwował.

— To wcale nie jest zabawne. Jego wiersz mówi

o marności. Wszystkie nasze wysiłki okazują się próżne.

— Proszę mówić za siebie! — powiedziała pani Hunsacker. — Ja mam dwupoziomowe mieszkanie na własność.

A co to ma wspólnego z poezją? Dorośli są naprawdę dziwni.

Charles też musiał tak pomyśleć, bo powiedział:

— Ale z ciebie burak!

— Usłyszałem jakąś ocenę — odezwał się pan Bixler. O, rany! To ma być kurs poezji.

Ronda podniosła rękę.

— Pewnego dnia przeżyłam coś z moim chłopcem. Napisałam o tym kilka słów.

Pan Bixler uśmiechnął się.

— Świetnie — powiedział. — Wszyscy słuchamy. Usiadł, a Ronda wstała. Wyglądziła sobie spódnice

i poprawiła koszulę. Zaczęła czytać, słodkim, niskim, namiętym głosem, jak kobiety w scenach miłosnych na filmach. O, rany! Mniejsza o to co napisała, jeśli tak potrafi to powiedzieć.

— Jego ciało nakryło mnie niczym koc. Kiedy spojrzałam w jego oczy, wiedziałam, że będzie mi dobrze...

I tak dalej.

Rozejrzałam się po sali.

Czy wolno jej było mówić takie rzeczy?

Ale każdy kiwał głową i uśmiechał się do niej i poza mną nikt nie wyglądał na zakłopotanego. Poza mną i panią Hunsacker. Twarz i szyja pani Hunsacker były całe czerwone. Nawet jej uszy zrobiły się purpurowe.

Ronda wreszcie zakończyła wiersz słowami: „Nie potrafię się temu oprzeć. Nie warto”.

Jeszcze raz spojrzałam na panią Hunsacker.

Wachlowała się.

Potem spojrzałam na pana Bixlera. Byłam ciekawa, czy będzie krzyczał na Rondę.

Ale on tylko uśmiechnął się.

— Cieszę się, że chcesz wyrażać swoje odczucia — powiedział.

Ale jego głos był jakiś bezbarwny i nie mogłam wyczuć, co naprawdę myśli.

Jeszcze kilka innych osób podniosło ręce i czytało swoje wiersze, a pan Bixler komentował je.

W końcu zebrałam się na odwagę i podniosłam rękę.

— Tak, Vada?

— Ja też napisałam wiersz — oznajmiłam.

— Świetnie — odparł pan Bixler, po czym poprosił mnie, żebym wstała, a sam usiadł.

Wstałam.

— *Oda do lodów*, napisała Vada Sultenfuss — zaczęłam. — „Bardzo lubię lody, bo dają dużo ochłody. W waflu czy na patyku, jadam ich bez liku. Waniliowe, malinowe czy kakao, ciągle mi ich mało” — rozejrzałam się. — Na razie mam tyle — powiedziałam.

— Vada... to bardzo miłe, słodkie, ale... — zaczął pan Bixler.

— Słodkie jak lody? — zapytał Charles.

Pan Bixler zaśmiał się.

— Nie zamierzony żart. Ale, Vada, chciałbym, żebyś następnym razem postarała się wyrazić to, co jest w twojej duszy. Twoje marzenia. Twoje nadzieje.

Moje nadzieje? Że poczekaś na mnie, aż będę dorosła.

Ale na pewno nie miałam zamiaru tego wyrażać!

— Tak, tak — przytaknęła Ronda. — W poezji trzeba mówić, jak się widzi świat, o swoich lękach, marzeniach, najskrytszych tajemnicach.

— Tajemnicach? — zdziwiłam się.

— Tajemnicach — powtórzył Justin.

Wszyscy przyglądali mi się, jakby oczekiwali, że powiem zaraz nowy wiersz o wszystkich moich tajemnicach. Czułam, że robi mi się gorąco. No tak. Gdybym miała wyjawić swoje prawdziwe tajemnice... Że zabrałam Shelly trzydzieści pięć dolarów. I jeszcze gorsze. Dużo gorsze.

— Tylko te tajemnice, które chcesz wyjawić — powiedział cicho pan Bixler i spojrzął na mnie, jakby wiedział, że się zmartwiłam. — Na tych zajęciach dzielimy się z innymi tylko tym, czym możemy się podzielić.

Uff! Usiadłam z ulgą.

Muszę, albo nigdy nie będę poetką. Jak mam napisać o naprawdę wielkiej tajemnicy? Że boję się, iż zabiłam moją matkę.

Rozdział X

Następnego ranka spędziłam mnóstwo czasu starając się napisać wiersz na kolejne zajęcia. Przyszedł mi wtedy do głowy pewien pomysł. Tata zawsze pisze notki pośmiertne i wkłada je do dokumentów, kiedy ludzie umierają. Może będę potrafiła mu pomóc, skoro chodzę teraz na zajęcia z pisarstwa! Jak mi się to uda, to tata będzie dumny ze mnie. Ale nie miałam zamiaru mówić mu o kursie, bo wtedy zapytałby mnie, skąd wzięłam pieniądze.

A ja przecież je zwrócę.

Zbiegłam do jego biura. Nie było go tam, ale nagle usłyszałam muzykę dochodzącą z kuchni — nie radio, ale prawdziwą muzykę.

Jego tuba! Nie słyszałam, żeby grał od... och, od dawna, kiedy grał do tańca babuni, mnie i wujowi Philowi. Usłyszałam też, że śpiewa tak jak kiedyś. Śpiewał piosenkę *Harry szaleje za mną*.

Coś takiego! Może babcia czuje się lepiej? Może zaczęła mówić?

Pobiegłam przez korytarz do kuchni, ale zatrzymałam się tuż przy drzwiach. Muzyka się urwała i usłyszałam, jak tata i Shelly rozmawiają — mówią o mnie!

Najpierw usłyszałam, jak tata się tłumaczy:

— Chciałem cię przeprosić za tę historię z Vadą. Ze mną? O co chodzi?

Zapanowała cisza, a po chwili tata mówił dalej:

— To było niezbyt ładne, kiedy ci powiedziałem, żebyś się nie wtrącała.

Przysunęłam się bliżej do drzwi.

— Nie. Nie powinnam wsadzać nosa w nie swoje sprawy. To po prostu dlatego, że bardzo lubię Vadę.

Naprawdę? Ja też ją lubię. Ale co takiego ona zrobiła? Zajrzałam przez szparę. Shelly stała tuż przy drzwiach z gazetą w ręku. Tata siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i trzymał tubę na kolanach. Wstał, odłożył tubę, podszedł do babci i zaczął ją gładzić po włosach.

Ale jak zwykle, babcia nie zwracała na niego żadnej uwagi.

— Wiesz — zwrócił się do Shelly, wciąż patrząc na babcię. — Kiedy umarła moja żona, babcia wprowadziła się do nas, żeby zająć się Vadą. Były sobie bardzo bliskie. Babcia zastępowała jej matkę. Ale później, kiedy z babcią zaczęło się robić coraz gorzej, Vada się zmieniła. Ciągłe wydaje się jej, że jest chora. I...

Głos uwiązał mu w gardle.

— To chyba przez to, że ma wciąż do czynienia ze śmiercią — powiedziała Shelly. — Całe dzieciństwo w zakładzie pogrzebowym.

Tata potrząsnął głową.

— Nie, to się stało dopiero, kiedy babcia zachorowała. Od tego czasu Vada zaczęła zachowywać się jak wariatka.

Jak wariatka! Nie zachowuję się jak wariatka. Nie mogłam znieść, że mówią o mnie w ten sposób. Ale gdybym zakaszłała, czy dała jakiś znak życia, wściekliby się na mnie, że podsłuchuję.

— To jej minie — powiedział tata.

— Oczywiście, że tak — odparła Shelly.

Komu? Babci czy mnie?

Czy chciał powiedzieć, że nie jestem chora? Ale przecież jestem. To znaczy mam nadzieję, że on ma rację, ale jeśli moja mama umarła i...

To było zbyt przykre. Może Shelly miała rację. Może to wszystko przez tą śmierć dokoła, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Ja po prostu jestem cały czas chora. To nie jest żadne udawanie czy uraz psychiczny. Naprawdę.

Tata odwrócił się do Shelly.

Cofnęłam się. Nie chciałam, żeby mnie nakryli.

— Słuchaj — odezwała się w końcu Shelly, wymachując gazetą. — Właśnie patrzyłam, co grają w kinach.

Uwielbiam filmy, a ty? Powtarzają *Love Story*. Byłam

kiedyś na tym i mało oczu nie wypłakałam.

— Nie byłem w kinie od... — tata zawiesił głos — ...bardzo dawna — dodał cicho.

— Uwielbiam filmy — powtórzyła Shelly. — Zwłaszcza w kinach na świeżym powietrzu. Chyba nie ma nic bardziej romantycznego, jak siedzieć w takim kinie w letni wieczór z kimś ukochanym i patrzeć w gwiazdy.

— Z kimś ukochanym — powtórzyła.

Zapadła długa cisza.

Potem tata powiedział:

— Z kimś ukochanym.

Shelly kiwnęła głową. Podeszła trochę bliżej do taty.

— Ładnie pachniesz — stwierdziła pociągając

no

sem. — Czego używasz?

Tata wzruszył ramionami.

— Formaliny.

Oboje się roześmiali.

Stali tak i patrzyli na siebie — to znaczy naprawdę

patrzyli na siebie, w oczy. Widać było, że tata już nie myśli o mnie.

Nagle przestraszyłam się, bo przypomniałam sobie, gdzie już widziałam taki widok — na okładkach książek Shelly.

Wydawało się, że będą tak stali całe wieki.

Nagle tata odwrócił się od niej. Pochylił się i starannie włożył tubę do pudła.

— No cóż — powiedziała w końcu Shelly. — Wrócę chyba do swojej roboty.

Tata nic nie odpowiedział.

Podeszła do drzwi, a ja rzuciłam się do schodów.

W tym samym momencie usłyszałam, jak tata mówi:

— Ale bardzo lubię chodzić na bingo. Chodzę co tydzień. Może wybrałabyś się ze mną następnym razem?

Ona może iść na bingo? A mnie nie wolno, choć prosiłam go tyle razy!

— Chętnie — ucieszyła się Shelly.

— Umowa stoi — powiedział tata.

— Randka — dodała cicho Shelly.

Pobiegłam w górę schodami. Jest taki podły! Zaprasza Shelly, a zostawia w domu własną córkę! Nie chcę, żeby wychodził gdzieś z Shelly. To znaczy lubię ją, ale nie chcę, żeby on ją lubił — w każdym razie nie tak, żeby chciał być z nią, a nie ze mną.

Popędziłam do swojego pokoju opracować pewien plan. Nie mogłam uwierzyć, że zostawi własną córkę w domu i wyjdzie z kimś, kto jest właściwie obcy. Jeśli ma choć odrobinę serca, pozwoli mi iść ze sobą. Ale na wypadek, gdyby było inaczej, to znaczy, gdyby okazało się, że nie ma serca albo nie pozwoli mi iść, muszę do następnego bingo wymyślić coś, żeby nie dopuścić do tej randki.

Rozdział XI

Do bingo został prawie tydzień i najpierw czekały mnie kolejne zajęcia z poezji. Zastanawiałam się, czy napisać o tacie, Shelly i bingo, ale w końcu rozmyślałam się. To nie powinno nikogo obchodzić, a jeszcze czytać o tym na głos... Dokończyłam zatem swój wiersz o lodach i dodałam do niego trochę uczuć to znaczy, jak się czuję, kiedy jem lody i kiedy już je skończę. Że mi jest przyjemnie, chłodno, a potem smutno, bo chciałabym jeszcze.

Miałam nadzieję, że to ich zadowoli.

Do szkoły przyszedłam wcześniej, ale nie wdawałam się z nikim w rozmowy. Schowałam się w łazience i oczekiwałam do chwili rozpoczęcia zajęć. Nie miałam wielkiej ochoty na rozmowy ze starszymi osobami, zwłaszcza z panią Hunsacker. Ronda wydawała mi się miła, ale jej wiersz mnie zdenerwował. Poza tym tacie chyba by się to nie spodobało.

W końcu, kiedy przyszedła już pora, weszłam do klasy i usiadłam. Akurat kiedy pan Bixler zaproponował: „A może byśmy zrobili zajęcia na świeżym powietrzu, pod drzewami”.

Zajęcia na świeżym powietrzu. Naszej klasie nigdy na to nie pozwalał.

Wymaszerowaliśmy zatem na dziedziniec, usiedliśmy na trawie i zaczęliśmy czytać po kolei nasze wiersze.

Wszyscy pisali je przez cały tydzień.

Aż trudno było uwierzyć, ilu ludzi pisze wiersze. Większości wierszy jednak nie rozumiałam, a te które rozumiałam, były strasznie nudne.

Całe te zajęcia były długie i nudne.

Mój wiersz miał już w sobie więcej uczuć, ale kiedy przyszedła moja kolej, powiedziałam, że chcę zaczekać.

Tak właśnie zrobiła pani Hunsacker i pan Bixler powiedział: „Ależ oczywiście”.

Nawet chciałam przeczytać ten wiersz, ale bałam się, że wszyscy zaczną mnie nękać, żebym wyjawiała więcej tajemnic.

W końcu nastąpiła najlepsza część zajęć — kiedy pan Bixler zaczął czytać.

Mogłabym słuchać go bez końca.

-- Mam tu pewien wiersz sławnego poety — powiedział uśmiechając się. — Chciałbym się nim z wami podzielić.

Oparł się o drzewo i zaczął czytać miękkim głosem:

— „Piękno to źródło wiecznej radości: jego czar zwiększa się z każdą chwilą i nigdy nie zginie; wciąż będzie dawać nam zaciszne schronienie, sen pełen słodkich marzeń, zdrowie i spokój duszy”.

Pan Bixler skończył i podnosząc brwi spojrzał na nas z uśmiechem.

Co za uśmiech! Naprawdę mam nadzieję, że zaczeka, aż będę dorosła.

— Jak sądzicie, o czym poeta tu mówi? — zapytał.

Pierwszy odezwał się Charles. Ma bardzo piskliwy głos. Założę się, że w szkole nie miał żadnych kolegów. Odchrząknął.

— Keats mówi tu oczywiście, że wszystko, co jest dobre, nigdy nie umiera.

— Nie! — zaprzeczył Ray. — Chodzi mu o to, że rzeczy umierają, ale nie pamięć o nich.

— Ludzie umierają — powiedziałam. — Widziałam ich.

Pan Bixler uśmiechnął się do mnie.

— Tak, ale Keats zastanawiał się, co dzieje się po ich śmierci.

— Przywożę ich do mnie do domu — ciągnęłam.

Charles zaśmiał się i zaraz starał się ukryć to udając pokasływanie.

Wykrzywiłam się do niego. Pani

Hunsacker podniosła rękę.

— Tak? — zapytał pan Bixler.

— Już pora kończyć — oznajmiła.

— Dziękuję. Ale wcześniej Ronda i Justin pytali mnie, czy mogą poprowadzić dziś grupową medytację.

Medytację? Co to jest?

Justin siedział tuż obok mnie i właśnie wstał.

— To jest coś wspaniałego — powiedział. — Powiem wam, co macie robić. Będziecie wysyłać wasze wibracje do całej grupy. Usiądźcie w pozycji medytacyjnej.

Usiadł obok mnie i skrzyżował nogi jak Budda czy ktoś z tych, którzy pokazują ćwiczenia oddechowe w telewizji. To wcale nie było trudne, ale niektórzy, jak na przykład pani Hunsacker, nie porafili tego zrobić. Pani Hunsacker miała na sobie spódnicę i nie dawała rady owinać sobie nią nóg.

W końcu zrezygnowała i uklękła jak do modlitwy.

Kiedy wszyscy już się jako tako usadowili, Ronda zadysponowała:

— A teraz weźcie się za ręce. Spróbujcie poczuć, co czuje ten drugi, nie mówiąc ani słowa.

Wszyscy wzięli się za ręce.

Żałowałam, że nie siedzę koło pana Bixlera. On miał obok siebie Betty i Raya. Ja Justina i Rondę. Wzięłam ich za ręce.

— A teraz zamknijcie oczy — powiedziała Ronda swoim niskim, namiętym głosem. — Zamknijcie oczy i spokojnie oddychajcie.

Zamknęłam oczy, kiedy już zobaczyłam, że wszyscy to zrobili.

Zwariować można. Takiej dziwnej lekcji na pewno jeszcze nigdy nie miałam.

— Wyślijcie swoje wibracje — szepnął Justin.

—

A jednocześnie odbierajcie wibracje płynące od innych.

Czy czujecie je?

Nic nie czułam, poza tym, że siedzę z zamkniętymi oczami pośród obcych ludzi. To było coś w rodzaju drzemki w autobusie.

Odemknęłam powieki i zerknęłam ukradkiem. Wszyscy mieli oczy zamknięte, nawet pan Bixler. Wyglądał bardzo interesująco z zamkniętymi oczami.

Zapanowała długa cisza, a ja wciąż przyglądałam się wszystkim.

Pani Hunsacker drgały powieki, jakby spała i coś się jej śniło.

— Dobrze, otwórzcie oczy — powiedziała cicho Ronda. — Ale nadal trzymajcie się za ręce.

Zaczęłam mrugać udając, że poraziło mnie światło.

Justinowi spocila się dłoń, a w dodatku miał na niej twardy odcisk. Chciałam ją puścić, żeby wytrzeć się z jego potu, ale wszyscy wciąż trzymali się za ręce.

— Co czuliście? — zapytał Justin.

— Czulem siłę pani Hunsacker — powiedział Ray. Siłę? Pani Hunsacker wygląda na słabowitą staruszkę.

— Ja coś czułem — oznajmił Charles. — Czułem, że Ronda ma kontakt z Ziemią. Jest zestrojona z Kosmo sem.

Co to znaczy? Spojrzałam na Rondę, zastanawiając się, czy wiedziała o tym, czy może ją obraził. Ale ona powiedziała tylko:

— To prawda! To właśnie wysyłam. A ja czułam, że jest w tobie wiele spokoju i wewnętrznej harmonii.

Charles? Spokój? Wyglądał na kogoś z doszczętnie starganymi nerwami.

Pan Bixler uśmiechnął się do mnie.

— A ty co czułaś, Vada? — zapytał. — Coś szczególnego?

Chciałam powiedzieć, że czułam odcisk Justina. Ale wiedziałam, że nie o to im chodzi.

Wzruszyłam tylko ramionami, a pan Bixler mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Pomyślałam, że może i on niczego nie poczuł.

Justin puścił moją rękę.

— Słuchaj, Vada — powiedział Justin. — Następnym razem staraj się coś poczuć — coś ważnego, co płynie do ciebie od innej osoby.

Odcisk jest ważny, pomyślałam. Babcia miała kiedyś odcisk na stopie, w którym zrobiło się zakażenie i lekarz musiał go jej odcinać. Dla babci to było ważne.

Ale wiedziałam oczywiście, że jemu nie o to chodzi.

Co z tego, kiedy nic nie czułam. Poza odciskiem i spoconą dłonią.

— Powtórzmy to jeszcze kiedyś — powiedziała Ronda zwracając się do całej grupy. — Nie martw się, Vada. Chwycisz to. Już niedługo będziesz potrafiła wysyłać

i odbierać sygnały od innych. Niektórzy potrzebują trochę ćwiczeń, koncentracji. Ale naprawdę warto. Możesz otrzymywać sygnały zupełnie bez słów.

I wtedy przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Żeby tylko się udało.

Cały wieczór czekałam, aż w domu zrobi się zupełnie cicho i wszyscy zasną. Potem poszłam na palcach do pokoju babci.

W świetle księżycy wpadającym przez okno zobaczyłam babcię, jak leży w łóżku na wznak, z głową na poduszce i rękami na kołdrze. Leżała sztywno, prawie tak, jak się układa nieboszczyków.

Po cichu usiadłam w nogach łóżka i przybrałam tę medytacyjną pozycję. Delikatnie ujęłam dłoń babci i siedziałam tak przez dłuższy czas wysyłając jej wszystko, co chciałam jej od dawna powiedzieć.

Mimo, że siedziałam tak bardzo długo, nie czułam, żeby od niej płynęło coś do mnie. Ale jeśli ona odebrała moje sygnały, to może jutro rano będzie wiedziała, co chciałam jej przekazać. Że chcę, aby wróciła. Że potrzebuję jej. Że tak bardzo za nią tęsknię.

Rozdział XII

Nazajutrz rano babcia wcale nie wydawała się inna, chociaż przyglądałam się jej bardzo uważnie. Miałam też jednak na głowie coś innego i nie mogłam cały czas siedzieć i patrzeć, czy odebrała moje sygnały. To był dzień bingo. I musiałam obmyślić nie jeden, a dwa plany — plan A, i gdyby ten zawiódł, plan B. Zadzwoiłam do Thomasa J. i powiedziałam mu, żeby był gotów, na wypadek, gdybym musiała posłużyć się rezerwowym planem B.

Tego wieczoru usadowiłam się dokładnie na środku stopni werandy, żeby tato musiał dosłownie przejść po mnie, jak będzie wychodził na bingo. Było już niemal ciemno, kiedy w końcu wyszedł z domu.

Wystroił się — ładna sportowa marynarka, najlepsze buty. Pachniał nawet jakąś przyjemną wodą po goleniu, a nie formaliną i zakładem pogrzebowym.

— Co słychć, Vada? — podniósł głowę i spojrzął w gwiazdy. — Miła noc, prawda?

— Dlaczego tak się wystroiłeś, skoro idziesz tylko na bingo? — zapytałam.

Tata wzruszył ramionami.

— Po prostu chcę przyzwoicie wyglądać.

— Ale dlaczego akurat teraz? Przedtem nigdy ci na tym nie zależało — stwierdziłam.

Nic nie odpowiedział. Wciąż patrzył w gwiazdy.

— I jeszcze użyłeś jakiegoś pachnidła — dodałam.

— To nie jest „jakieś pachnidło” — powiedział tato ze śmiechem. — To Old Spice.

— No dobrze, ale dlaczego go użyłeś? — zapytałam.

— Słuchaj, Vada — westchnął tato. — Widzisz, Shelly ma przyjechać i mamy iść razem.

— Shelly? — udałam zdziwienie. — Jakim cudem?

— Ona lubi grać w bingo — odrzekł tato.

Miałam już powiedzieć, że to nieprawda, bo lubi kina pod gołym niebem, ale wówczas domyśliłby się, że podsłuchiwałam. Wstałam.

— To pójdę z tobą — zaproponowałam. — Dobrze? Tato pokręcił głową.

— Nie, raczej nie — powiedział.

— Dlaczego nie?

— Wiesz, to jest...

— Randka? — zapytałam, wymawiając to słowo takim tonem, jakby było to coś obrzydliwego.

— Nie, nie randka. Nie całkiem.

— No to pójdę z tobą.

Tata potrząsnął głową i westchnął.

— Posłuchaj, Vada, zostaniesz w domu razem z babcią, dobrze? Mówiłem ci, że to jest ten mój jeden wieczór. Za jakiś tydzień w naszym miasteczku będzie festyn i wtedy pójdziemy razem, zgoda?

Nie czekał na moją odpowiedź. Pochylił się, pocałował mnie w głowę i pogładził moje włosy.

— Ładnie pachną — szepnął.

A potem skierował się w stronę samochodu. Miałam

ochotę krzyknąć: „A więc wolisz ją ode mnie!”, ale nie zrobiłam tego. To by było poniżej mojej godności. A poza tym miałam plan B.

W tym momencie Shelly podjechała swoim samochodem. Wsiadła i pomachała do mnie. A potem wsiadła razem z tatą do jego samochodu. Nie pomachałam jej.

Kiedy tylko ruszyli, popędziłam do domu Thomasa J. i podeszłam pod okno jego pokoju.

Paliło się w nim światło.

— Thomas J.! — zawołałam. — Thomas J.!

Od razu pojawił się w oknie.

— Jesteś gotów? — zapytałam.

— A jeśli narobię sobie kłopotów? — szepnął.

— Nie narobisz sobie żadnych kłopotów — uspokoiłam go. — Po prostu wyjdź.

Zniknął i w pokoju zgasło światło.

Podbiegłam do tylnych drzwi, skąd miał wyjść i przykucnęłam przy kublach ze śmieciami, chowając się w mroku.

Po chwili drzwi otworzyły się po cichutku i Thomas J. zszedł po schodkach.

— Vada? — odezwał się cicho i rozejrzał się wokół.

— Hej! — przywitałam go i wyszłam ze swojego ukrycia.

Chwycił się za gardło.

— Nie rób takich rzeczy — szepnął.

— Przepraszam.

— Będę miał kłopoty, jak się dowiedzą, że wyszedłam — obawiał się Thomas J. — Od ciemności dostaję astmy.

— Tchórz! — wyśmiałam go.

— Nieprawda!

— Siusiumajtek!

— Już nie! — odpowiedział.

— No to chodź. Idziemy na bingo.

— A co będzie, jeśli...

Pobiegłam, a on za mną. Wiedziałam, że tak będzie. Kiedy mnie dogonił, powiedział:

— Nie wpuszczaj nas, Vada, jesteśmy przecież za mali! A ja w dodatku nie lubię grać w bingo.

— Nie będziemy grać. Będziemy obserwować. Chodź. To ważna sprawa.

Przez całą drogę biegliśmy. Gra w bingo odbywa się w wielkim namiocie, który rozstawiają specjalnie na tę okazję. Zatrzasnęliśmy do środka. Gra już się toczyła. Kucnęliśmy przy płachcie namiotu wystawiając głowy tylko na tyle, żeby coś widzieć. Miałam nadzieję, że nikt nas nie zobaczy.

Stół taty i Shelly był tuż obok nas. Siedzieli tak blisko, że gdybym wstała i wychyliła się, mogłabym niemal dojrzeć numery na ich kartach. Nie rozumieliśmy dokładnie, o czym rozmawiali, bo w środku był gwar, ale usłyszałam, jak Shelly mówi coś o robieniu makijażu a tata o swojej „strategii” w bingo. Nudy.

Większość ludzi w namiocie to byli starszkiwie, którzy mieli chyba po sto lat — także ci przy stole taty. Jedną z takich par przy jego stole byli państwo Swope z naszego kościoła. Pan i pani Swope byli nie tylko bardzo starzy, ale i zupełnie głusi.

— Spójrz! — powiedział nagle Thomas J. wyciągając palec. — Tam jest twój tata i Shelly.

Złapałam go za rękę i opuściłam ją.

— Cicho! Nie chcę, żeby mnie tu zobaczyli. Jak

myślisz, dlaczego się chowamy?

— Mamy tu zostać całą noc? — zapytał Thomas J. Nie odpowiedziałam.

— To jest nudne! — jęczał Thomas J.

— Cicho! — szepnęłam.

Wywoływano właśnie numery i ludzie sprawdzali swoje karty.

Zauważyłam jednak, że starsze panie przy stole taty grają jakby od niechcienia, a głównie przyglądają się tacie i Shelly.

Wpatrywały się w nich tak samo jak ja — ponieważ tata i Shelly zachowywali się jak wariaci. Shelly ciągle mrugała do taty i przysuwała się do niego coraz bliżej, jak gdyby chciała mu wejść pod marynarkę. A tata wiercił się, jakby mu było niewygodnie i próbował się odsuwać. Ale jak zauważyłam, nie odsunął się zbyt daleko.

Za każdym razem, kiedy wywoływano numer, pan Swope szturchał panią Swope, przypominając jej, żeby spojrzeć w swoją kartę.

— Co? — wrzasnęła raz.

— C-dziewiętnaście! — odkrzyknęła.

Ale pani Swope z drugą staruszką tak się gapiły, że tata w końcu to zauważył.

Spojrzał znad swojej kartki i kiwnął głową.

— Dobry wieczór — przywitał się. — Miła noc, prawda, pani Swope?

Pani Swope odwróciła się do swojego męża.

— Co on powiedział? — krzyknęła.

Spojrzelśmy z Thomasem J. na siebie i mało nie podusiliśmy się ze śmiechu.

Thomas J. tak się śmiał, że aż upadł na ziemię nie mogąc złapać tchu.

Ale ja nie ruszyłam się. Bałam się, że coś przegapię.

— Czy możemy już wracać? — marudził Thomas J. leżąc na ziemi. — To nudne tak się tylko przyglądać.

— Jak chcesz, to idź. Ja zostaję — odpowiedziałam.

— Nie mogę iść sam. Wiesz przecież, że nie wolno mi chodzić samemu po zmroku. — szarpał gumę biegnącą wokół podeszwy jego trampek. — Dlaczego chciałaś,

żebyś tu przyszedł z tobą, jeśli mamy nie grać?

— Wiesz, dlaczego — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo zawarliśmy braterstwo krwi. Wszystko robimy razem. A teraz siedź cicho.

Obserwowałam tatę. I Shelly. Przysuwała się do niego coraz bliżej.

Przysięgam, że miała ochotę go pocałować. Tam, na oczach wszystkich. Naprawdę!

A on nie robił nic, żeby ją powstrzymać. Teraz już wszyscy staruszkowie patrzyli na nich — państwo Swope i inni też.

— F-jedenaście! — wywołano numer.

Shelly nachyliła się do taty i zajrzała mu w oczy. Tata też spojrział na nią i miał taką minę jak z okładki tamtej książki, jakby chciał zaraz pocałować Shelly, tu, przy wszystkich.

Podskoczyłam.

— Bingo! — krzyknęłam.

Thomas J. też podskoczył i popatrzył na mnie.

— Mamy zwycięzcę! — oznajmił prowadzący grę.

Nie było żadnego bingo. To krzyknął

ktos na

zewnątrz — wrzasnął pan Swope.

Schowaliśmy się.

— Jak ktoś na zewnątrz mógł mieć bingo? — zapytał inny staruszek.

— Ten ktoś na zewnątrz nie miał bingo, tylko krzyknął bingo, ty kretynie — wyjaśnił pan Swope.

— Kogo nazywasz kretynem? — wrzasnął tamten.

— Vernon — odezwała się pani Swope — nie zwracaj na niego uwagi.

Znów przycisnęliśmy sobie ręce do ust, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Ale Thomas J. wyglądał jednocześnie na nieco wystraszonego.

— Czy zwycięzca zechciałby podnieść rękę? — zapytał prowadzący.

Niedobrze.

Nikt nie podniósł ręki.

— Akurat! — krzyknął Veron.

Był już zupełnie rozwścieczony.

— Nie puszczę tego płazem. Jeśli to stare próchno...

Nagle ten drugi staruszek rzucił się do niego przez stół.

I zaczęli się wściekle okładać z panem Swope. Ich żony rozpaczliwie próbowały ich odciągnąć. Ale nie mogły dać rady i dwóch staruszków dalej tłukło się nawzajem.

Tata zawołał:

— Panowie, panowie, to tylko bingo, panowie...

Thomas J. i ja dostaliśmy ataku histerycznego śmiechu.

Po chwili tata i Shelly wstali i zaczęli rozdzielać

tamtych. Tata przytrzymał jednego staruszka, a Shelly chwyciła za ręce pana Swope.

Musieli się zdrowo naszarpać, żeby odciągnąć ich od siebie.

Powstał kompletny zamęt.

I nikt już nie patrzył nikomu w oczy.

Odwróciłam się z uśmiechem do Thomasa J.

— Dobra — szepnęłam. — Teraz już możemy iść.

Rozdział XIII

Siedziałam przy oknie w swoim pokoju i czekałam, aż tata i Shelly wrócą do domu. Czekałam już bardzo długo, a ich wciąż nie było. W końcu zasnęłam tak, siedząc w krześle, z brodą opartą o parapet.

Nie wiem, co mnie obudziło — może zdrętwiał mi kark albo ścierpły mi nogi. A może po prostu usłyszałam ich przez sen. Wiem tylko, że kiedy się ocknęłam, na ulicy przed domem był już tata i Shelly — Shelly z tatą na ulicy. I tańczyli.

Tańczyli! Na środku ulicy po ciemku.

Skądś dobiegała muzyka, chyba z samochodu Shelly. Przez uchylone drzwi padała na nich wąska smuga światła.

Cholera! Powinnam była nie zasypiać i siedzieć na ganku całą noc, dopóki nie przyjdą.

Tańczyli i tańczyli, tata obejmował mocno Shelly, a ona patrzyła mu w oczy.

Z mojego pokoju nie mogłam dostrzec jej wyrazu twarzy, ale gotowa byłam się założyć, jak wyglądała — rozanielona, półprzytomna, jak na bingo. I kiedy tak patrzyłam na nich, tata ją pocałował. Przyłożył swoją twarz do jej twarzy i pocałował ją. W usta też.

Pozostali tak w objęciach przez dłuższy czas. Chciałam, żeby babcia się obudziła i zaczęła wyrzaskiwać jedną ze swoich piosenek. To by ich powstrzymało.

Jak to zobaczyłam, nie było już mi tak głupio z powodu pożyczenia pieniędzy od Shelly. Nie powinna była się tu w ogóle pojawiać.

Po chwili usłyszałam kukanie zegara Shelly. Jak na sygnał tata i Shelly odsunęli się od siebie. Gdybym wiedziała, już dawno bym zakukała.

Widziałam, że rozmawiają, ale nie słyszałam o czym. I jeszcze jeden pocałunek — ale tym razem krótki i tata poszedł do ganku, a Shelly weszła do samochodu.

Ale zobaczyłam, że tata stoi na ganku jeszcze przez chwilę i patrzy, jak Shelly odjeżdża. Usłyszałam, jak mówią sobie do siebie.

To było obrzydliwe. Dorośli nie powinni się tak zachowywać. Postanowiłam ułożyć jakiś plan, żeby urządzić jej tu „czarną godzinę” i żeby musiała wyjechać. Ale co?

Nie wiedziałam, ale byłam pewna, że coś wymyślę.

Nazajutrz rano wybierałam się właśnie do Thoma-sa J. i przechodziłam koło łazienki na dole. Drzwi były otwarte, a przed lustrem stała Shelly i malowała sobie usta.

Zatrzymałam się i obserwowałam ją trzymając się pod boki. Wiedziałam, co robi. I po co.

— Wychodzisz gdzieś? — zapytałam.

— Nie — odparła.

Nałożyła sobie jeszcze więcej szminki i poprawiła ją jakimś ołówkiem do ust.

— To dlaczego się malujesz?

— Kobieta musi wyglądać najlepiej jak może — powiedziała Shelly strojąc miny do lustra. — Zawsze.

Ha! To znaczy dla mojego taty.

— Wydaje mi się, że szminka wygląda sztucznie. I to bardzo.

Shelly uśmiechnęła się do mnie.

— Próbowалаś kiedyś się malować?

— Nie.

Shelly zamknęła klapę od klozetu.

— Chodź tu. Siadaj.

— Po co? — zapytałam.

— Tak sobie, siadaj.

I nie wiem dlaczego, ale usiadłam. Wiedziałam, że ona chce mnie uszminnować i wiedziałam, że to idiotyczne. Byłam też na nią wściekła. Ale z jakichś dziwnych powodów usiadłam.

— Daj mi tu buzię — powiedziała, kładąc mi rękę pod brodę i podnosząc głowę do góry.

Nie byłam pewna, czy mi się to spodoba. Ale pomyślałam, że może ze szminką, jeśli będę taka ładna jak Shelly, tata pozwoli mi pójść na bingo.

Shelly posmarowała mi usta tym mazidłem. Było jakieś obślizgłe i wykrzywiłam się.

— Nie wierć się — powiedziała — bo nie mogę cię umalować.

Przez chwilę jeszcze pracowała nade mną, a potem odeszła parę kroków i przyjrzała mi się. Podała mi kawałek bibułki.

— Osusz sobie usta.

Shelly przechyliła głowę i spojrzała na mnie.

— Naprawdę ci z tym ładnie — stwierdziła.

Oblizalam wargi.

— Ma śmieszny smak.

— Tego się nie je — poinstruowała Shelly. — A teraz zamknij oczy. Chcę uwydatnić ten wspaniały błękit twoich oczu.

Zaczęła mi czymś smarować powieki.

— Pierwsza zasada przy stosowaniu makijażu mówi, że niebieskiego cienia nigdy nie jest za wiele — wyjaśniła.

— Lubisz malować ludzi? — zapytałam.

— Tak. Od lat próbuję się dostać do Hollywood.

Robiłabym tam makijaż gwiazdom filmowym. Ale na razie nic z tego.

„Oby ci się udało” — pomyślałam. Może powinniśmy poszukać ci jakiejś pracy gdzieś indziej. Ale powiedziałam tylko:

— Nie przejmowałabym się tym za bardzo. Słyszałam, że z gwiazdami filmowymi ciężko się pracuje.

Shelly się roześmiała.

— A teraz otwórz oczy i przyjrzyj się sobie — powiedziała.

Wstałam i spojrzałam w lustro.

Wyglądałam jak szop. Albo bokser po przegranej walce. Albo...

Ale... mimo wszystko, to było coś nowego. Na pewno wyglądałam dorośle. Może dziwnie, ale dorośle.

Przyglądałam się w lustrze i przekrzywiałam głowę na boki.

— Shelly, czy myślisz, że jestem ładna?

— No pewnie! — potwierdziła Shelly. — Bardzo ładna. Masz wspaniałe, ogromne oczy i najzgrabniejszy nos na świecie. Bardzo mi się też podobają twoje włosy. Masz... styl!

— Chłopcy w szkole tak nie uważają — powiedziała.

— A co oni wiedzą? Poczekaj tylko. Pojawią się koło ciebie. A Thomas J.? On chyba tak uważa, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

— Thomas J. to nie chłopak. To znaczy to jest chłopak, ale nie taki do chodzenia.

— Jesteś bardzo ładna — powiedziała Shelly.

— Czy trzeba być ładną, żeby mieć ładnego chłopca?

Uśmiechnęła się.

— To pomaga.

— Lubisz mojego tatę, prawda?

— Owszem — przytaknęła.

Ale w lustrze dostrzegłam, że się czerwieni.

— Ale chyba on cię nie lubi — powiedziałam.

— Dlaczego?

— To znaczy jakoś tam cię lubi, ale on jest dla każdego miły. -To znaczy... nie jesteś dla niego kimś... szczególnie czy coś w tym rodzaju.

— Aha — zdawało mi się, że się uśmiecha.

I wtedy poczułam, że ja się czerwienię.

Dlaczego byłam taka natrętna? Ona przecież mogła się łatwo zorientować, o co mi chodzi — co próbuję robić. I pewnie pomyślała, że jestem strasznie dziecinna.

— Podoba ci się ten makijaż? — zapytała.

Chciałam już powiedzieć, że tak, bo rzeczywiście na swój sposób podobał mi się. Ale wtedy przypomniałam sobie, że jestem na nią zła. I powiedziałam tylko:

— Wiesz Shelly, ja bym sobie dała spokój z tym Hollywoodem.

Kilka minut później, kiedy wychodziłam z domu, usłyszałam, jak Shelly rozmawia z kimś. Z kim? Z tatą?

Poszłam na palcach do kuchni. Fakt, że to było szpiegowanie, ale nie przejmowałam się tym. Musiałam zobaczyć, jak się zachowują wobec siebie.

Ale taty tam nie było — tylko Shelly. Kłęcząca przy babci i mówiła coś do niej, tak samo jak ja. Tak jak ja próbuję.

— Jak pani się dziś czuje, pani Sultenfuss? — zapytała cicho Shelly.

I choć babcia tylko patrzyła przed siebie i bujała się w fotelu, Shelly ciągnęła dalej:

— Powinnaś porozmawiać z Vadą, to jest dla niej bardzo ważne.

Rozdział XIV

Następnego dnia znalazłam jakieś szminki Shelly i próbowałam sama zrobić sobie makijaż. Nie wiedziałam, czy wyszedł mi dobrze czy nie — moim zdaniem wyglądał trochę dziwnie, zwłaszcza oczy. Były takie... jakby przybrudzone. Ale pamiętałam, co powiedziała Shelly — niebieskiego cienia nigdy nie jest za wiele. A usta miałam... czerwone.

Kiedy wyszłam na dwór, zobaczyłam, że na trawniku koło domu siedzi Thomas J.

— Skaleczyłaś się w usta? — zapytał.

Wykrzywiłam się do niego.

— Nie.

Obruszył się.

— Marnie wyglądasz. Masz oczy jak...

— Dziewczyna nigdy nie ma za wiele niebieskiego cienia — pouczyłam go.

— Aha — Thomas J. wzruszył ramionami i podniósł z ziemi swój rower. — Gdzie twój rower? — zapytał.

— W garażu. Podwieź mnie.

Wskoczyłam na bagażnik i Thomas J. ruszył w stronę garażu, ale zaczęło go zarzucać i kołysać na boki. On naprawdę nie ma za wiele siły. W końcu jednak jakoś

pojechaliśmy, kiedy zaczęłam się odpychać nogami od ziemi.

W garażu jest potworny bałagan, jeszcze gorszy niż w moim pokoju. Wszędzie porozrzucane są pudła z ubraniami i różnymi rzeczami zbieranymi przez babcię, pozostałości jej kolejnych hobby. Były tam przybory do szycia, przyrządy do obserwowania ptaków, kolekcja znaczków pocztowych i albumy fotograficzne. Babcia zbiera, a raczej zbierała, wszelkie rupiecie niemal tak samo jak Thomas J. A kiedy znudziła się jednym hobby, zanosila wszystko do garażu i zaczynała zbierać coś nowego.

Wzięłam swój rower, ale spojrzałam na kierownicę. Brakowało jednego wiatraczka.

— Zginął mi gdzieś wiatraczek — stwierdziłam. — Pomóż mi szukać. Musi tu gdzieś być.

Zaczęliśmy pełzać na czworakach po podłodze.

Po chwili jednak Thomas J. ugrzązł gdzieś w kącie.

— Miałeś mi pomóc! — upomniałam go.

— Popatrz, co znalazłem! — powiedział i uniósł plastikową czaszkę, na której wymalowane były linie i wypisane różne słowa.

— To babci — powiedziałam ze śmiechem. — Wykres frenologiczny.

Zapomniałam o tym jej hobby. Babcia mówiła ludziom, jakie mają osobowości na podstawie guzów na ich głowach. Kilka razy robiła to nawet na nieboszczykach, dopóki tata jej nie powstrzymał. To było tuż, zanim zupełnie zachorowała.

— Po co jej to było? — zapytał Thomas J.

— Frenologia to badanie guzów na głowie, żeby zobać, czy człowiek ma dobrą osobowość — wyjaśniłam. — Przynieś to tutaj, to zbadam twoją głowę.

— Nie — zaprotestował i cofnął się.

— Chodź, to niezła zabawa.

— Czy to boli?

Wykrzywiłam się do niego. On też się wykrzywił do mnie, ale powoli podszedł i podał mi tę czaszkę.

— Siadaj! — powiedziałam. — Tyłem.

Usiadł posłusznie na podłodze plecami do mnie. Powoli, ostrożnie przesunęłam dłońmi po jego głowie. Mój Boże, miał taką małą główkę!

— Hm — specjalnie przybrałam poważny ton, jakbym odkryła coś ważnego. — Bardzo interesujące.

— Co? — zapytał Thomas J.

— Ale smutne — dodałam.

— Co?

— Ty w ogóle nie masz osobowości — oznajmiłam. — Żadnej.

Odwrócił się do mnie i chwycił plastikową głowę.

— Tak? Pokaż mi, gdzie jest tak napisane — powie dział.

Wyrwałam mu ją z powrotem. Upadliśmy na ziemię na jakieś pudełko. Co dziwne, Thomasowi J. udało się zabrać mi tę czaszkę.

Wstałam i zaczęłam poprawiać rozrzucone pudła. W jednym z nich były znaczki pocztowe, a w drugim zdjęcia. Zebrałam je, żeby włożyć z powrotem na miejsce. Nie chciałam robić bałaganu w rzeczach babci, bo kiedy wyzdrowieje, może ich znowu potrzebować.

Kiedy wkładałam je do pudełka, nagle zobaczyłam zdjęcia taty — dużo młodszego, ale to na pewno był on. Stał przed jakimś staromodnym samochodem. Z kobietą.

Moja mama.

Widziałam ją przedtem na zdjęciach — tata ma kilka w domu i babcia pokazywała mi ich dużo — ale to zawsze jakaś niespodzianka zobaczyć nowe.

— Kto to jest z twoim tatą? — zapytał Thomas J. zaglądając mi przez ramię. — Twoja mama?

— Tak, moja mama.

Thomas J. usiadł przy mnie.

— Pamiętasz ją?

— Nie.

— Jak myślisz, gdzie ona teraz jest?

— Babcia mówi, że w niebie.

— Jak tam jest?

— Co?

— Jak jest w niebie?

— Wydaje mi się, że...

Co mi się wydawało? Że tam nikt nie choruje. I nikt niczego się nie boi. I nikt nie ma czegoś takiego w gardle jak ja. I każdy ma wszystko, co zechce, na przykład... Czy powiedzenie tego wszystkiego zabrzmiałoby głupio?

Ale Thomas J. patrzył na mnie, jakby naprawdę chciał wiedzieć.

— No cóż — powiedziałam powoli — myślę, że każdy dostaje tam własnego konia albo własny rower, samochód czy cokolwiek, na czym lubi jeździć. I oni ciągle jeżdżą i jedzą wszystko, na co mają ochotę przez cały dzień. Wszyscy przyjaźnią się ze sobą, a kiedy uprawiają sport, nie ma tam drużyn i nikt nie jest ostatni. Tego możesz się nie bać. Nikt tam niczego się nie boi.

Nikt nie ma uczulenia ani nie choruje. Wszyscy troszczą się o siebie nawzajem, jak przyjaciele. I... i nikt nie musi umierać.

— A jeśli mimo wszystko człowiek się boi? Na przykład boi się jeździć na koniu? — zapytał Thomas J.

— To nie ma znaczenia — odparłam — bo jeśli nie chcesz, to nie musisz jeździć. W ogóle nie musisz nic robić, jeśli nie masz na to ochoty.

— A gdybym chciał jeździć, ale bym się bał?

Pokręciłam głową. Co za dziwny dzieciak!

Nawet

o niebo się martwi! Westchnęłam.

— To też nie ma znaczenia, bo to nie są zwykłe konie. Mają skrzydła i jeśli spadniesz, to nic wielkiego. Po prostu lądujesz na obłoku.

— Nieźle to brzmi — powiedział Thomas J.

Wstał.

— Chodźmy. Nie znajdziemy twojego wiatraczka.

Wstałam i wsiedliśmy na rowery.

Zanim wyjechałam z garażu, podniosłam zdjęcie taty i mojej mamy, jak stoją uśmiechnięci przed samochodem. Schowałam je do kieszeni. Chciałam je wziąć do swojego pokoju, może włożę je pod poduszkę, gdzie już miałam jedno.

Moja mama uśmiechnięta. Moja mama, zanim ją zabiłam.

Może później pokażę je tacie. Może, jeśli przypomni sobie o niej, nie będzie chciał Shelly. I może pewnego razu będę mogła go nawet zapytać, czy to była moja wina.

Ale nie tylko dlatego włożyłam to zdjęcie do kieszeni. Potrzebowałam go także z innego powodu. Nie byłam pewna, dlaczego, ale tak było. Może po wczorajszym dniu — kiedy Shelly robiła mi makijaż. Może kiedy jest się na tyle dużą, żeby się malować, dziewczyna własnego taty nie musi ci pokazywać, jak to się robi. Może potrzebowałam mamy, prawdziwej mamy. Nawet jeśli była tylko na zdjęciu.

Rozdział XV

Było coraz gorzej. Tata i Shelly bez przerwy zachowywali się jak zakochani. Tata jakby mnie w ogóle nie dostrzegał. Owszem, zawsze się zachowywał tak, jakbym była niewidzialna, ale teraz było jeszcze gorzej. Myślał tylko o Shelly. Przyłapałam go nawet raz, jak przeglądał się w lustrze i teraz już zawsze używał Old Spice'a.

Przygotowywaliśmy się do naszego tradycyjnego pikniku z okazji święta Ameryki, ale tym razem nie było tak jak zwykle — tata, ja, wuj Phil i babcia — bo tata zaprosił Shelly. Pewnego dnia, kiedy robiliśmy z tatą zakupy na piknik, spotkaliśmy w sklepie Shelly i on zostawił mnie i chodził z nią po sklepie, jakby zupełnie zapomniał, że jest razem ze mną. Próbowałam go dogonić i całkiem przypadkowo najechałam mu wózkiem na nogę. Odwrócił się i krzyknął na mnie, przy Shelly i przy wszystkich w sklepie, jakbym naumyślnie zrobiła coś złego.

Później mnie przeproszał, ale chyba tylko dlatego, że zobaczył, iż Shelly patrzy na niego dziwnie.

Zanim nadeszło święto czwartego lipca, byłam już na tatę tak zła, że prawie nie odzywałam się do niego. Ale i tak tego nie zauważył.

Kiedy przyszedł w końcu wieczór i czas na piknik, tata

zaczął piec hamburgery i hot dogi na grillu, a Shelly przyniosła swoją sałatkę z ziemniaków — nazwała ją „sławną sałatką ziemniaczaną De Voto”. Obrzydzenie brało. Kiedy siadaliśmy przed domem do kolacji, popędziłam szybko do stołu, żeby zająć miejsce tuż koło taty.

Siadłam tak blisko niego, że prawie weszłam mu na kolana. Ha! Shelly musiała usiąść obok wuja Phila, po drugiej stronie. Na końcu stołu siedziała babcia z małą amerykańską flagą w ręku, którą przyniosła dla niej Shelly. Ale babcia chyba nie zauważyła, że trzyma flagę. Bawiła się tylko widelcem, aż tata zaczął ją karmić. Po chwili złapała, o co chodzi i jadła już sama.

Kiedy wszyscy zasiedliśmy, Shelly powiedziała do taty:

— Uwielbiam ten twój fartuch.

— Dziękuję — powiedział tata uśmiechając się.

Popatrzył na swój fartuch i wydawało mi się, że poczerwieniał.

Wywróciłam oczami i spojrzałam na wuja Phila. Mrugnął do mnie. Wzięłam swojego hamburgera i ugryzłam kawałek.

Ale Shelly pochyliła głowę, jakby miała zamiar się pomodlić i wyrecytowała:

— Na samym starcie dziękujemy za żarcie.

— To świetne! — roześmiał się tata.

Spojrzałam na wuja Phila, a on znów mrugnął do mnie. Przez chwilę żułam swojego hamburgera, a potem spojrzałam na Shelly.

— Shelly? — zapytałam. — Lubisz mielone?

— Pewnie — odpowiedziała uśmiechając się do mnie przez stół.

Otworzyłam szeroko usta i pokazałam jej buzię pełną jedzenia.

— To masz. Mielone.

— Bardzo ciekawe — odrzekła.

— Va-da! — upomniał mnie tato.

Żadnego poczucia humoru. Za grosz.

Nagle dostrzegłam, że ulicą bardzo wolno jedzie jakiś samochód. Przejechał, potem zawrócił i zatrzymał się przed naszym domem. No tak. Na pewno ktoś do taty. Bardzo dobrze. Pójdzie tam, a ja nie będę musiała patrzeć, jak on i Shelly wpatrują się w siebie.

Trochę mi też było przykro, bo nie chciałam, żeby stracił pokaz sztucznych ogni.

— Tato, przed domem zatrzymał się jakiś samo-
chód — odezwałam się.

Tata pokręcił głową i wymruczał pod nosem:

— Zawsze to samo. Nie ma spokoju.

Zaczął wycierać usta i przybierać poważną minę.

Po chwili zza rogu domu wyszło dwóch mężczyzn. Wyglądali podobnie, obaj wysocy, ciemnowłosi i szczupli. Jeden był nawet zupełnie chudy, jak Charles z zajęć o poezji, a drugi odrobinę grubszy, zwłaszcza na brzuchu.

Shelly zerwała się.

— Zostań tu! — rozkazała. — Zaraz wrócę.

Oni
przyszli do mnie.

Rzuciła swoją serwetkę i podeszła do tych dwóch.

— Co wy tu robicie? — zapytała.

Mimo, że mówiła przez zaciśnięte zęby, jej głos był dźwięczny — i wściekły. O rany, ona była wściekła!

— Wspólnota majątkowa — powiedział ten
chud-

szy. — Nic ci to nie mówi?

— Jak mnie znaleźliście? — zapytała Shelly.

Znaleźli ją? No ładnie. To gliny. Przyszli po nią!

— Wszystkim mówiłaś, dokąd się wybierasz. Przyje-
chałem po samochód — jego głos zabrzmiał
bardzo

nieprzyjemnie, jakby trzymał w kieszeni pistolet.

Czułam, jak wali mi serce. A więc ona była złodziejką! Kradła samochody! I te pieniądze — z naczynia na słodczyce. Założę się, że kradzione!

Shelly trzymała się pod boki i stukwała nogą w ziemię. Mogłam jej powiedzieć, że tak się nie zachowuje wobec policjantów. Ale ona pochyliła się do chudzielca i oznajmiła:

— Ja go kupiłam. Ja za niego płaciłam. I mieszkam w nim od ponad roku. Jest mój!

Kupiła go?

— Wspólnota majątkowa — powtórzył chudy. — Tak powiedział prawnik. A nie auto na wakacje dla Shelly.

Spojrzałam na tatę i wuja Phila. Tacie zwięziły się oczy. Nigdy nie widziałam, żeby wyglądał tak nieprzyjemnie. Nawet wtedy, kiedy krzyczał na mnie w sklepie.

Wuj Phil uśmiechał się pod nosem. Nachylił się do taty.

— Chyba tych dwoje nie przepada za sobą — odezwał się cicho.

— Czy mogę zjeść hot doga Shelly? — zapytałam.

Tata nie odpowiedział. Wstał. Nie odszedł jednak od stołu, tylko stał i patrzył.

— Chodźcie — powiedziała Shelly. — Mój szef się przygląda. Lepiej was przedstawię.

Wróciła do stołu, a ci dwaj przyszli za nią.

— Danny i Ralph.

Danny to był ten chudy.

— A to jest Harry, Phil, babcia i Vada Sultenfuss — przedstawiła nas.

— Vada Sultenfuss? — zdziwił się Danny i pokręcił głową. — Strasznie poważnie to brzmi, dziecino.

— Mnie się podoba! — powiedziałam.

— On jest z Detroit — wyjaśniła Shelly, pokazując na Danny'ego. — Był moim mężem.

Tata i Phil wstali i podali im ręce. Tata spojrzał na faceta o imieniu Danny — męża Shelly. Widziałam, że nad czymś rozmyśla.

— Czy przyjechałeś po Shelly? — zapytałam Danny'ego.

— Miło mi pana poznać, panie De Voto — odezwał się tata do Danny'ego i spojrzał na mnie.

— Witamy w naszej małej wiosce, panie De Voto — powiedział wuj Phil.

Mała wioska?

— Mamy hamburgery i hot dogi — zapraszał tata. — Mam nadzieję, że usiądziecie z nami.

— Nie możemy zostać — wyjaśnił Danny. — Przyjechałem tylko dlatego, że moja żona...

— Była żona! — sprostowała Shelly.

— Moja była żona zdaje się porwała mój samochód — powiedział Danny wyraźnie wściekły.

— Shelly? — zapytał tata.

— Słowo daję, Harry — tłumaczyła Shelly. — Dostał mustanga i mieszkanie. Daję ci słowo...

— Chyba było inaczej — przerwał Danny. — Mam tu ze sobą umowę o podziale własności i...

Wyciągnął coś z tylnej kieszeni.

— A niech to... To moja dzierzawa. Jak mogę być tak durny? — klapnął ciężko na krzesło i zaczął trzeć czoło. — Wciąż o czymś zapominam. To chyba skleroza.

Spojrzał na babcie. Stałam przy niej.

Facet o imieniu Ralph tylko spoglądał to na tatę, to na Danny'ego i Shelly, ale jeszcze nie odezwał się ani słowem. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem głuchy albo niemy, czy coś w tym rodzaju.

Danny wziął hamburgera i zaczął go zajadać.

— Mój żołądek jest w strasznym stanie. Wciąż mam te ataki.

— Znowu jesz tłuste rzeczy? — zapytała Shelly.

Spojrzał na hamburgera i odłożył go.

— Całe moje życie jest w strasznym stanie — powiedział znów pocierając czoło.

— Danny? — odezwał się tata.

— Co?

— Wiem, że cierpisz z powodu doznanej straty i trudno tu znaleźć jakieś słowa pociechy. Pomyśl jednak

o wspomnieniach związanych z tym samochodem. O swoich podróżach, o widokach, jakie oglądałeś. Te dni minęły, ale pozostaną na zawsze w twoim sercu.

Danny spojrzał na Shelly.

— Czy to ktoś ważny dla ciebie? Czy ty i on...

— Mówisz bzdury — powiedziała Shelly.

Mnie się zdawało, że to tata mówił bzdury.

Danny wstał i chwycił Shelly za ramię.

— Daj mi kluczyki — powiedział.

Shelly próbowała się wyrwać, ale Danny trzymał ją mocno.

— Przestań! — krzyknęła Shelly. — Zrobisz mi krzywdę!

Nagle tata ruszył z za stołu — szybko. Nigdy nie widziałam, żeby ruszał się tak szybko. Pięć taty wystrzeliła i po jednym ciosie w brzuch Danny był już na kolanach.

Wreszcie po raz pierwszy przemówił Ralph.

— Co ty robisz? — zapytał.

— A ty kto jesteś? — zapytał tata.

— Ralph. Jego brat.

— To zapewne bądziesz wpadał tu dość często — powiedział tata.

— Co? Dlaczego?

— Bo jeśli on jeszcze raz spróbuje zabrać ten wóz — zagroził tata — to pochowam go na trawniku przed domem.

Shelly, wuj Phil i ja wpatrywaliśmy się w tatę. Wuj Phil uśmiechał się. Ralph ukląkł przy Dannym. Wuj Phil nachylił się do mnie.

— Twój tata to prawdziwy dzikus — szepnęła, ale było widać, że się śmieje.

Danny wyprostował się.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś — wyjąkał płaczącym tonem.

— Nieładnie się zachowałeś — odparł tato. — Chcesz coś zjeść?

— Wyjeżdżam stąd — powiedział Danny. — Chodź, Ralph.

Danny i Ralph wrócili do samochodu, a my — oprócz babci — poszliśmy za nimi. Chciałam się upewnić, że nie ukradną samochodu Shelly. Niezależnie od tego, jak wyglądała sprawa z Shelly, nie chciałam, by okazało się, że nie ma gdzie mieszkać. Nawiedziła mnie wtedy okropna myśl: gdyby straciła swój samochód, musiałaby zamieszkać z nami. Trzeba było się upewnić, że samochód zostaje.

Kiedy wyszliśmy przed dom, zobaczyliśmy, jak Ralph siada za kierownicą, a Danny obok niego.

— Cześć, Danny — powiedziała miłym głosem Shelly, jakby się przyjaźnili. — Pozdrów wszystkich moich starych znajomych.

— W ogóle ich nie widuję — odparł Danny. — Chyba mnie nigdy nie lubili.

Shelly pochyliła się i pocałowała Danny'ego w policzek, takie małe dziobnięcie.

Danny westchnął. Popatrzył jeszcze raz na Shelly i rzucił ostatnie smutne spojrzenie na jej samochód.

— Wspólnota majątkowa — szepnęła.

— Może on miał na myśli psa — powiedziała Shelly. — A właśnie, jak się miewa Sidney?

— Jest chory. Ma zapalenie wątroby — odparł Danny.

— Cześć, Danny, trzymaj się, Ralph! — pożegnała ich Shelly.

Wszyscy patrzyliśmy, jak odjeżdżają. Shelly odwróciła się do taty.

— To było wspaniałe.
— To naprawdę twój samochód? — zapytał tata.
Uśmiechnęła się.
— To nie jest do końca jasne.
— Kochałaś go?
— Tak — powiedziała cicho Shelly. — Kiedyś tak. Nie mogłabym poślubić kogoś, jeśli bym go nie kochała.
Wuj Phil wziął mnie pod rękę.
— Chodź. Pokuśtam cię — powiedział cicho.
Wiedziałam, dlaczego nagle chce mnie pokuśtać. I tak nie miałam zamiaru tam zostać i przyglądać się im, więc poszłam z nim na podwórze. Ale nie chciałam, żeby mnie huśtał. Nie jestem dzieckiem.
Podeszliśmy do stołu. Wuj Phil stanął przy babci i wziął ją za rękę.
— On lubi Shelly, prawda? — powiedziałam. — Nigdy w życiu nie widziałam, żeby kogoś uderzył.
— Tak — odpowiedział wuj Phil. — Lubi ją.
— Czy myślisz, że ją kocha?
— Chyba tak.
— A ty ją lubisz?
— Tak — powiedział wuj. — To bardzo dobrze dla twojego ojca.
— Dlaczego? Dlaczego dobrze?
— Od czasu, kiedy umarła twoja mama, tata był stale smutny. A przedtem to był naprawdę wesoły facet.
— Tata?
— Kiedy jest z Shelly, przypomina mi się dawny Harry — powiedział wuj Phil.
— Mój tata był wesoły?
— Może nie był jednym z braci Marx, ale potrafił mnie rozśmieszyć. Byłabyś zaskoczona.
Byłabym. I to bardzo. Przypominam sobie, co kiedyś powiedziała babcia, że mojej mamie mówili, iż nigdy nie

będzie mieć dzieci i że ja byłam zaskoczeniem dla wszystkich.

Steven Wallace położył mi kiedyś pająka na plecach. To zaskoczenie mi się nie spodobało. Nie lubiłam zaskoczeń i już. Chciałam o wszystkim wiedzieć od razu — na przykład o tym, co siedzi w moim gardle. I czy pan Bixler zaczeka na mnie.

A już na pewno nie chciałam, żeby tata mnie zaskakiwał.

Rozdział XVI

Gardło bolało mnie w nocy tak bardzo, że nazajutrz rano wybrałam się razem z Thomasem J. do doktora Welty.

Kiedy przyszedłam po Thomasa J., jego mama wyszła za nim na ganek.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała pani Sennett, przy trzymując go. — Coś tu zobaczyłam — odwróciła go twarzą do siebie, pośliniła palec i wytarła mu usta. — Miałaś wąsy z mleka — wyjaśniła.

Najpierw skrzywił się, ale zaraz uśmiechnęli się do siebie. Pomyślałam, że może nawet chciałabym być Thomasem J. Pani Sennett uśmiechnęła się też do mnie.

— Wybieracie się na rower?

Kiwnęłam głową. Nie chciałam jej mówić, że idziemy do doktora Welty. Byłam ciekawa, czy Thomas J. mówił jej kiedykolwiek o tym.

— Miłej zabawy, dzieci! — wchodząc do domu jeszcze przez ramię rzuciła Thomasowi J. — Powinieneś lepiej ścieścić łóżko.

— Tak, tak — zamruczał.

— Idziemy — powiedziałam.

— Nad jezioro? — zapytał.

Pokręciłam głową.

— Do doktora Welty.

Kiwnął głową.

— Jesteś chora?

— Tak.

Kiedy przyszedliśmy na miejsce, jak zwykle zostawiłam go w poczekalni i weszłam sama do gabinetu. Po tym, co doktor Welty mówił w zeszłym tygodniu o panu Laytonie, nie mogłam mu dziś powiedzieć, że mam nowotwór, raka. Postanowiłam powiedzieć tylko, że czuję, iż podczas pikniku ostatniego wieczora utkwiała mi w gardle kostka z kurczaka. Oczywiście doktor Welty nie musi wiedzieć, że nie było u nas wczoraj żadnych kurczaków. Ale chciałam, żeby jeszcze raz sprawdził moje gardło. Skoro ten nowotwór urósł od zeszłego tygodnia i w nocy mało nie zadławił mnie na śmierć, to może doktor Welty mógłby go obejrzeć.

Ale doktor Welty powiedział tylko, że w moim gardle nie ma żadnych kostek kurczaka.

— Wszystko jest w porządku! — stwierdził.

A potem dodał:

— Jak się czuje Thomas J.? Jak z jego astmą?

— Jest w poczekalni. Dlaczego pan jego nie zapyta? Jest pan pewien, że nic mi nie jest?

— Jesteś zupełnie zdrowa, Vada — uśmiechnął się do mnie. — Wszystko w porządku.

Wszystko w porządku? Ha! To nie jego ojciec zakochał się w Shelly.

Właśnie wychodziłam z gabinetu, kiedy usłyszałam, jak pani Randall rozmawia z Thomasem J. Pokazywała mu, jak nabierać wodę do strzykawki — strzykawki bez igły — i jak używać jej do psikania.

Thomas J. zawsze mnie zaskakuje. Potrafi każdego wciągnąć w rozmowę — nawet nieprzystępną panią Randall.

Thomas J. pokazał mi dwie strzykawki.

— Zobacz, co dostaliśmy! — zawołał.

— Daj mi jedną! — poprosiłam.

Dał mi strzykawkę i zaraz polał mnie wodą ze swojej. Popędziłam za nim na dwór i też go oblałam. Wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy ulicą przed siebie.

Chociaż wcale nie umawialiśmy się, jechaliśmy w stronę jeziora i wierzby. Thomas J. polewał wszystko, co mu się nawinęło po drodze — drzewa, kwiaty, nawet psa. Podjechaliśmy na brzeg jeziora i nabraliśmy wody do strzykawek. Thomas J. stanął przy wielkim dębie i spoglądał w górę.

— Na co patrzysz? — zapytałam.

— Tam jest gniazdo pszczół.

— Gdzie?

Pokazał na nie strzykawką.

— No i co z tego?

Wycelował w nie i psiknął wodą.

— Ty, wariacie! Pogryzą cię.

— Cofnij się — powiedział Thomas J. — Wypędzimy je stamtąd i wezmę sobie gniazdo do swojej kolekcji.

Też pomysły. Najpierw zbierał martwe owady, a teraz domki owadów.

Psiknął znowu, ale nie trafił.

— Nie bądź głupi — ostrzegłam odpychając go. — Pogryzą cię.

— Nie pogryzą.

Podniósł kamień i rzucił w gniazdo. Nie trafił i kamień o mało nie spadł mu na głowę. Skulił się.

— Ty, głupku! — powiedziałam. — A tak w ogóle, do czego ci to potrzebne?

— Przyda się. Mam już gniazdo os, a teraz będę miał gniazdo pszczół. A poza tym w nim nie ma żadnych

pszczół. Gdyby to było zamieszkane gniazdo, to kręciłyby się koło niego. Tak było, kiedy znalazłam gniazdo os. To jest puste. Widziałaś kiedyś, jak to wygląda w środku? Fantastycznie. Tam jest całe mnóstwo osobnych dziurek, jakby każda pszczółka miała swój własny pokój.

— Thomas J. — ostrzegłam. — Jesteś naprawdę stuknięty. Pogryzą nas.

Przez chwilę wyglądał tak smutno, że zrobiło mi się go żal. I postanowiłam, że jeśli chce mieć to gniazdo, to mu pomogę. Zresztą chyba miał rację, że jest puste. Nie było widać żadnej pszczółki. Poza tym znając sportowe umiejętności Thomasa J. — a raczej ich brak — byłam pewna, że sam nigdy nie straci tego gniazda.

Nazbieraliśmy kamieni i zaczęliśmy rzucać. Za skarby nie mogłam trafić. Celowałam prawie tak samo źle jak on. Ale w końcu po kilku rzutach, Thomas J. trafił — i to mocno — i gniazdo spadło. Łupnęło o ziemię i leżało już koło nas.

Oboje odskoczyliśmy, a ja przytrzymałam Thomasa J., jakbym go chciała obronić. Dlaczego to zrobiłam? Czy zdawało mi się, że jestem jego matką? To było idiotyczne. Byłam jednak pewna, że zaraz rzucą się na nas tysiące pszczół.

Ale niepotrzebnie się martwiłam. Nic się nie stało. W środku nie było żadnych pszczół.

Thomas J. podszedł bliżej i trącił gniazdo czubkiem trampka. Nie ma pszczół. Miał rację — to było stare, opuszczone gniazdo.

O nagle spojrzałam na swoją dłoń. Mój pierścionek! Nie było go!

— Mój pierścionek! — krzyknęłam. — Zginął mi! — zaczęłam na czworakach przeszukiwać trawę. — Pomóż mi Thomas J., zgubiłam pierścionek.

— Gdzie on upadł? — zapytał Thomas J.

— Gdybym wiedziała gdzie... och, nieważne. Ale muszę go znaleźć. Musiał spaść, jak rzucałam kamieniami.

Thomas J. też zaczął chodzić wkoło na czworakach i macać trawę.

— To mój ukochany pierścionek! — jęczałam.

Czułam, że się zaraz rozplaczę.

— Znajdzie się — pocieszał mnie Thomas J. — Pomogę ci. Nie martw się.

A może spadł u doktora Welty, kiedy goniliśmy się ze strzykawkami?

— O, rany! Spójrz! — krzyknął nagle Thomas J.

Chwycił mnie za ramię i szarpnął.

— Uciekajmy. One tu są!

Spojrzałam. Pszczoły, całe mnóstwo pszczół! Wylatywały z gniazda i krążyły wokół nas, chyba z milion, czarna chmura pszczół.

— Zaraz dobiorą się do nas! — wrzasnął Thomas J.

Rozejrzał się dokoła dzikim wzrokiem. I właśnie

w tym momencie dostrzegłam swój pierścionek. Już wyciągałam po niego rękę, kiedy czarna chmura otoczyła moją głowę.

— Daj spokój z pierścionkiem!

— Uciekaj! — krzyknęłam do Thomasa J. — Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

Pobiegłam w stronę wody, a pszczoły cały czas krążyły nad moją głową.

— Do wody — rzuciłam. — Do jeziora.

— Ale ja jestem w ubraniu! — jęknął Thomas J.

Zatrzymał się na brzegu. Nie patrzyłam już, co on robi, ale dałam mu przykład. Po prostu rzuciłam się do wody, tak jak stałam, w ubraniu i w butach. Po chwili Thomas J. chlupnął obok mnie.

Siedzieliśmy pod wodą, ile tylko mogliśmy wytrzymać. Kiedy wynurzyliśmy się, przez parę minut żadne z nas się

nie odzywało. Serce waliło mi strasznie. Thomas J. Wziął mnie za rękę.

Kucnęliśmy mając tylko oczy i nosy wytknięte ponad wodę i patrzyliśmy, jak rój pszczół wściekle krąży i huczy na brzegu.

— Już wyleciały z gniazda. Później będę mógł je

wziąć — powiedział cicho Thomas J.

— Wariat! Mogłeś nas oboje nieźle urządzić!

— Ale teraz już ich tam nie ma, a nam nic się nie stało — odrzekł głosem pewnym siebie.

— Tak, tak. A pszczoły rzucają się na nas, jak

wyjdziemy z wody. Może będziemy musieli zostać tu przez cały dzień.

— O, rany! — jęknął Thomas J. — Obiecałem mamie, że wrócę na obiad.

Rój zaczął zmierzać w naszą stronę i oboje znów schowaliśmy się pod wodę. Kiedy się znów wynurzyłam, powiedziałam do Thomasa J.

— Lepiej odsuńmy się trochę dalej.

Rozejrzał się nerwowo.

— Wiesz, że nie umiem pływać.

— Nie musimy iść, aż cię zakryje — uspokołam go.

Przesunęliśmy się trochę dalej, cały czas obserwując pszczoły.

Chyba dały nam już spokój. Ale setki ich wciąż latały tam i z powrotem pomiędzy drzewem i gniazdem. Niektóre usiadły na nim, a inne jeszcze krążyły niespokojnie.

— Kiedy będzie puste, zabiorę je — powiedział Thomas J.

— Jesteś stuknięty.

Ale co teraz? Jeszcze nie mogliśmy wyjść z wody. Przestraszyłam się, że będziemy tam tkwić dłużej.

Thomas J. spojrział na mnie, jakby pomyślał o tym samym.

— Czy możemy usiąść? — zapytał.

Roześmiałam się.

— Jeśli dasz radę oddychać.

Zaczęliśmy przesuwać się w wodzie, szukając płytszego miejsca, ale nie spuszczałyśmy oka z pszczół. Wreszcie usiedliśmy. Tylko głowy wystawały nam z wody.

— Vada? — odezwał się Thomas J. — Dlaczego tak często chodzisz do doktora Welty?

— Bo jestem chora!

— A co ci powiedział przedtem?

— Nic. Znasz go. Powiedział, że jestem najzupełniej zdrowa.

— A nie jesteś?

— Nie.

— Myślisz, że jesteś umierająca?

Te słowa wypowiedziane głośno zabrzmiały jakoś głupio. Wzruszyłam tylko ramionami. Thomas J. spojrzał na mnie. Z włosów kapała mu woda i wyglądał teraz na jeszcze młodszego.

— A ty myślisz, że jestem?

— Nie — powiedział Thomas J. — Nie.

Nie wiadomo dlaczego, poczułam się lepiej niż wówczas, kiedy to samo powiedział mi doktor Welty.

— Ale wiesz, co myślę?

— Co? — zapytałam.

To śmieszne, ale ja naprawdę chciałam wiedzieć, co on myśli. Zastanawiałam się czasem, skąd jestem taka pewna, że umieram.

— Myślę, że wystraszyłaś się tych wszystkich nieżywych ludzi w twoim domu — powiedział Thomas J. — Wiesz, podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić. Jak nie ma innej rady, to musisz się z tym pogodzić. Może wtedy nie będziesz się tak bać.

O, rany. Tak myślał Thomas J.? Czy to może być prawda? Chyba nie. Tu chodziło o coś więcej, nie tylko o nieboszyków dookoła. Ale nie wiedziałam co.

— Tak czy owak, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Mam nadzieję, że nie umrzesz — powiedział Thomas J.

„A ty jesteś moim najlepszym przyjacielem” — pomyślałam. Ale nie wiem dlaczego, nie potrafiłam powiedzieć tego głośno. To jakoś głupio brzmiało. Wstałam tylko i spojrzałam w stronę brzegu jeziora. Większość pszczół odleciała, a niektóre krążyły jeszcze wokół gniazda i drzewa. Ale nie wyglądały już groźnie i już nas nie szukały.

— Możemy już iść? — zapytał Thomas J. — Moja mama będzie się martwić.

— Chyba tak — powiedziałam. — Teraz jest już chyba wszystko w porządku.

Rozdział XVII

Przez następnych parę dni nie wracaliśmy nad jezioro i nie szukaliśmy mojego pierścionka, chociaż Thomas J. wciąż mówił, że chce zabrać gniazdo. Bawiliśmy się koło domu, u niego albo u mnie. Nie chciałam już ryzykować. Kto wie, jak będzie z tymi pszczołami? Z tego co wiedziałam, mogły być rozjuszone bardzo długo.

Przez cały piątek bawiłam się u Thomasa J. i kiedy wróciłam do domu, była już niemal pora na kolację.

— Czy to ty, Vada? — zawołał tata, jak wchodziłam.

— Tak — odkrzyknęłam.

— Czekaliśmy na ciebie — powiedział. — Dziś wieczór idziemy na festyn. Bądź gotowa za pięć minut, dobrze?

— Dobra — ucieszyłam się i pognałam po schodach.

Tata wytknął głowę ze swojego pokoju.

— Shelly idzie z nami — oznajmił. — Mówiła, że może powinnaś włożyć sweter. Wieczorem robi się chłodno.

Popatrzyłam na niego.

Shelly idzie? Shelly mówi, że powinnam włożyć sweter? Nie będziemy tylko we dwoje? Powiedział, że to my pójdziemy na festyn. Nie mówił, że on, ja i Shelly.

Tata znikł w swoim pokoju.

— Pospiesz się — powiedział.

Po co ona w ogóle się tu zjawiała? A wuj Phil mówi, że tata jest w niej zakochany. Czulałam, że go nienawidzę. I jej też. Ale co mogłam zrobić?

Kiedy byliśmy już gotowi i przyjechała Shelly, wszyscy wsiedliśmy do samochodu taty. Oczywiście musiałam usiąść z tyłu i oczywiście jak zwykle zrobiło mi się niedobrze. Zawsze robi mi się niedobrze, kiedy siedzę z tyłu i tata o tym wie.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Shelly powiedziała do mnie:

— Uważaj, żebyś nie zjadła tu jakiegoś święstwa.

Kiedy byłam mała, poszłam na taki festyn razem z moimi kuzynami Garym i Frankiem. Obaj zjedli hot dogi i na następny dzień dostali nerczycy.

Zrobiłam wielkie oczy i spojrzałam na tatę.

— Nerczyca to choroba nerek — powiedziałam słodkim głosem. — Nie można jej dostać od hot dogów.

Tata uśmiechnął się do Shelly i wziął ją za rękę.

— Nie jestem lekarzem — usprawiedliwiała się Shelly. — Może użyłam niewłaściwego słowa. Ale wiem, że obaj jedli hot dogi i obaj dostali wysokiej gorączki i spuchły im twarze.

Znów spojrzałam na tatę i uśmiechnęłam się.

— Naprawdę — ciągnęła Shelly. — To była zagadka medyczna. Pisali o nich nawet w jakimś czasopiśmie.

„Technika dla wszystkich” — nie „Nauka dla wszystkich”.

Znów uśmiechnęłam się porozumiewawczo do taty, ale on nawet nie spojrzał na mnie, tylko obejmował Shelly.

— „Choroby dla wszystkich” — szepnął do niej i oboje się roześmiali.

Poszli przodem, a ja za nimi. Zrobiłam do

nich paskudną minę za ich plecami.

Po chwili Shelly powiedziała:

— Zobaczcie, samochodziki! Jak można być na festynie i nie przejechać się samochodzikiem?

— Dobrze, chodź ze mną! — zaproponowałam nagle.

Tata wziął ode mnie rybkę i poszliśmy razem z Shelly.

Świetnie sobie radzę na tych samochodzikach. W zeszłym roku tak wytlukłam Thomasa J., że jeszcze przez tydzień czuł to w kościach.

Wsiadłam do swojego autka i ruszyłam prosto na Shelly. Właśnie utknęła w rogu i nie mogła się stamtąd wydostać. Rozpędziłam się, ile tylko mogłam i najechałam na nią. Łup! Nie spodziewała się tego. Rąbnęłam ją jeszcze raz. I jeszcze raz. Ja nawet lubiłam Shelly. Ale nie lubiłam jej i taty razem. Trzymałam ją tak w rogu i walnęłam w nią jeszcze mnóstwo razy, zanim zdołała się wydostać.

Była zmieszana, zaskoczona i... i co jeszcze? Nie wiedziałam. Ale pomyślałam, że to dobrze, iż dowiedziała się, co to znaczy być zaskoczonym. Zwłaszcza, kiedy nie jest to miłe zaskoczenie.

Rozdział XVIII

Przez całą noc potrafiłam myśleć tylko o tym, jak uciec z domu, choć wiedziałam, że to dziecinne. A poza tym byłam pewna, że mi się to nie uda. Po pierwsze, dokąd miałam uciekać? Mogłam pójść do Thomasa J., to prawda, bo jego matka pozwoliłaby mi zostać na trochę. Ale na pewno powiedziałaby tacie, gdzie jestem. A nawet gdybym wymyśliła jakieś inne miejsce, to przecież w ogóle nie miałam pieniędzy.

Żałowałam, że nie jestem na tyle duża, żeby wyjść za pana Bixlera. Do niego bym poszła.

Przypomniałam sobie, jak przed mniej więcej rokiem mówiliśmy o tym z Thomasem J. To było zaraz po tym, jak babcia zrobiła się dziwna. Nienawidziłam swojego domu, brakowało mi babci, a tato bez przerwy był zajęty nieboszczykami. Z kolei Thomas J. był za coś zły na swoją mamę. Postanowiliśmy zatem uciec do Hollywood. Oglądaliśmy powtórki *The Brady Bunch* i *The Partridge Family*. Powiedziałyśmy wtedy, że chcemy mieszkać u Brady'ego Buncha a Thomas J. na to, że też chce u niego mieszkać. Zaczęliśmy się okropnie tłuc, bo wyjaśniłam Thomasowi J., że Brady Bunch ma dostatecznie dużo dzieci, zwłaszcza jeśli weźmie jeszcze mnie, i że w takiej sytuacji musi

zamieszkać z rodziną Partridge'ów. Z początku był na mnie zły, ale potem zgodził się. Uznaliśmy w końcu, że obie rodziny są miłe. Ja zawsze chciałam być Marcją Brady.

Już wiedziałam, że to były dziecinne marzenia. A co teraz mogłam zrobić? Tata się żeni. Bardziej lubił Shelly niż mnie. A ja nienawidziłam ich oboje.

Wstałam i wyszłam na korytarz. Chciałam znaleźć tatę i zapytać go, kiedy mają zamiar to zrobić. Być może nie tak prędko. Może dopiero za parę lat. To byłoby nieźle, bo do tego czasu będę już na tyle duża, żeby po prostu wyprowadzić się z domu.

.!Ale Taty nie było w pokoju i kiedy wyjrzałam na dwór, zobaczyłam, że nie ma też jego samochodu — chyba że stał jeszcze w garażu. Poszłam do łazienki zrobić siku. I wtedy właśnie to dostrzegłam. Och, nie! Ja krwawię! Umieram! To rak. Coraz więcej krwi. Przez minutę nie mogłam się poruszyć. Moje spodnie. Całe we krwi. Wszędzie krew. O, Boże! Zaczęłam słabnąć i kręciło mi się w głowie, jakbym mdlała.

— Tato! — wybiegłam z łazienki i popędziłam przez korytarz. — Tato! — zawołałam.

Nigdzie go nie było. Zeszłam po schodach trzymając się poręczy.

— Tato? Tato?

Nie było go na dole. W biurze też go nie było. Poszłam do kuchni, powoli, czując, jak krew kapie mi na nogi. Ale w kuchni nikogo nie było, nawet babci.

Wszystkie dziewczyny mówią o tym, jak dostają okres. Ale to nie mógł być okres. Za dużo krwi. To był poważny krwotok, czułam to.

— Tato!

Zaczęłam płakać. Łzy same napływały mi do oczu.

Wyszłam z powrotem na korytarz, kiedy akurat Shelly wchodziła do domu.

— Vada? — zapytała. — Co się stało?

— Gdzie jest tato?

— Właśnie wyszedł. O co chodzi?

— Mam straszny krwotok!

— Jak to krwotok?

— Ja chcę do taty! Do babci! Ciebie nie potrzebuję!

Chciałam wbiec na schody, ale Shelly chwyciła mnie za rękę.

— Vada? — Shelly przytrzymała mnie i popatrzyła mi w oczy. — Czy to się zdarzyło w łazience? To o czym mówisz?

Kiwnęłam głową.

— Ile masz lat, Vada? — zapytała Shelly.

— Jedenaście i pół — powiedziałam.

Shelly westchnęła.

— Chodź ze mną na górę — powiedziała spokojnie. — Musimy porozmawiać.

— Porozmawiać? Ja zaraz się wykrwawię.

— Nie. Nie bój się — uspokajała mnie. — Chodź ze mną. Wszystko będzie dobrze.

I nie wiem czemu, ale jej spokój jakoś mi się udzielił. Wzięła mnie za rękę, jakbym była małym dzieckiem. I co dziwne, nie opierałam się jej.

Zaprowadziła mnie do mojego pokoju i usiadła obok mnie na łóżku.

— Chcesz mi powiedzieć, że dostałam okres? — zapytałam.

Podniosła brwi.

— Wiesz o tym?

Potaknęłam.

— To dlaczego myślisz, że masz krwotok?

Wzruszyłam ramionami. Nie mogłam jej przecież po-

wiedzieć, że tak naprawdę nie wiedziałam o tym prawie nic — tyle, co szeptały jakieś dziewczyny i co raz mówiła nam szkolna pielęgniarka. Że trwa pięć do siedmiu dni — każdego miesiąca i że wtedy nie możemy pływać. Ale nie powiedziała dlaczego, nawet o tym pływaniu. I nie powiedziała też wcale, że to będzie coś takiego. To było niesprawiedliwe! Dlaczego zdarza się to akurat dziewczynom? Dlaczego nie chłopcom? I kiedy zapytałam, Shelly powiedziała mi dlaczego. Od razu. Wszystko.

Okropność! To znaczy, niby to nie było dla mnie nic nowego, skąd się biorą dzieci, ale nic nie wiedziałam o całej reszcie, dlaczego mój okres ma coś z tym wspólnego.

To było obrzydliwe. Po prostu obrzydliwe. Dlaczego przytrafiło się akurat mnie? Przecież nie miałam zamiaru mieć dziecka.

Wstałam z łóżka.

— Myślę, że to powinno być prawie zakazane — powiedziałam.

Shelly tylko uśmiechnęła się.

— Vada, to piękna rzecz. Widzisz, bez tego nigdy nie byłoby cię na świecie.

— Mimo to, myślę, że to jest obrzydliwe.

— Wierz mi — powiedziała Shelly — pewnego dnia zmienisz zdanie.

Shelly dała mi jakieś watki i poszłam do łazienki.

Obrzydlistwo.

A, niech to... Czułam się, jakbym nosiła poduszkę w spodniach. I tak do końca życia? A przynajmniej, dopóki nie będę stara, to znaczy do pięćdziesiątki czy coś koło tego? Nie mogłam się doczekać, aż będę miała pięćdziesiąt lat. Wróciłam do swojego pokoju. Shelly wciąż czekała na mnie i siedziała na moim łóżku.

— Już wszystko w porządku? — zapytała.

— Nie.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz — powiedziała.

Wyrzałam przez okno. Zobaczyłam Thomasa J., który właśnie przyjechał do mnie na rowerze. Położył go na trawniku i zaraz rozległ się dzwonek.

— To Thomas J. — oznajmiłam Shelly. — Nie chcę go widzieć. To niesprawiedliwe. Chłopcom nic się dzieje.

Zejdź na dół i powiedz mu, żeby sobie poszedł.

— Vada — perswadowała Shelly. — Daj spokój. Nie możesz się chować do końca życia. Nic się nie zmieniło. Idź. Idź i otwórz mu. To przecież twój przyjaciel.

Obrzuciłam ją spojrzeniem. Chyba miała rację. Nie mogłam siedzieć w swoim pokoju przez cały tydzień. Poza tym przypomniało mi się, że jestem na nią zła. Nie chciałam już z nią dłużej być. Ale nie zesłam na dół.

Otworzyłam okno i wysadziłam głowę na zewnątrz.

— Thomas J.! — zawołałam. — Jestem tutaj. Czego chcesz?

— Może gdzieś pojedziemy? — zaproponował odchyłając głowę, żeby mnie dojrzeć.

— Na przykład gdzie?

— Jest strasznie gorąco — stwierdził. — Moglibyśmy pójść nad jezioro i poszukać twojego pierścionka. A potem może popływać?

Popływać?

— Nie! — krzyknęłam.

— Dlaczego? — gapił się na mnie. — Jest upał!

— Odejdź! — powiedziałam. — Odejdź i nie wracaj przez pięć do siedmiu dni!

I zatrasnęłam okno. Z całej siły.

Rozdział XIX

Tak się zaczęły dwa najgorsze dni w moim życiu. Potrafiłam myśleć tylko o tym, co się ze mną dzieje, to znaczy z moim ciałem. Myśleć i czuć to. A to było naprawdę obrzydliwe uczucie. Nie rozumiałam, jak te wszystkie dziewczyny w mojej klasie mogły tak się podniecać, kiedy im się to zdarzyło. Chyba, że kłamały i tak samo tego nie mogły znieść jak ja.

Nie chciałam w ogóle wychodzić z domu. Nie poszłam nawet na zajęcia z poezji. Zdawało mi się, że jak na mnie spojrzą, to od razu będą wiedzieć, co mi się przytrafiło. A na domiar złego tata się żenił. I wyraźnie bardziej lubił Shelly niż mnie.

Przez następnych parę dni widywałam ich, jak się całowali po kątach. A pewnego wieczora narobiłam sobie kłopotów, bo myślałam cały czas o nich i o wszystkich innych swoich nieszczęściach — i zapomniałam zamknąć babcię w kuchni na czas, kiedy krewni przychodzą oglądać zmarłego.

Wielki błąd. Babcia wydostała się z kuchni i weszła tam do sali. Kiedy to się zdarzyło, nie było mnie na dole i nie wiedziałam, co się stało, ale tata powiedział mi później, że zdjęła różę z trumny i zaczęła używać jej jako mikrofonu.

I stanęła tak przed zwłokami i zaczęła śpiewać na całe gardło: „Najlepszy biznes to show biznes”. Przy nieboszczyku i jego krewnych.

Mnie to się wydawało bardzo śmieszne, ale tata był wściekły jak nigdy. Powiedział, że to wszystko moja wina i krzyczał na mnie przy Shelly.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak zdenerwowali się ci ludzie? — wrzeszczał. — Położył mi ręce na ramionach, jakby chciał mną potrząsnąć, ale zaraz mnie puścił.

— O czym ty myślisz? — zaryczał.

Już chciałam mu powiedzieć o czym, ale oczywiście nie zrobiłam tego. Poza tym to nie była moja wina, że babcia się teraz tak dziwnie zachowuje. Nienawidziłam go. Gdybym tylko miała dokąd uciec, uciekłabym od razu.

Następnego dnia wcześniej rano wsiadłam na rower i jeździłam przez cały czas. Jeździłam aż do obiadu, potem przyszłam do domu, zjadłam i poszłam znowu jeździć. Jeździłam tak, dopóki nie minęła mi trochę złość. Jazda na rowerze pomaga mi w myśleniu. Uspokaja mnie. A ja miałam wiele do przemyślenia.

Przede wszystkim myślałam o ucieczce. Ale to było zbyt naiwne. Dziecko nie może daleko uciec, zwłaszcza bez pieniędzy. Zastanawiałam się, czy jest jakiś sposób na to, żeby mnie ktoś porwał. To znaczy, żeby nie zrobił mi żadnej krzywdy, tylko porwał na jakiś czas. Założę się, że wtedy zaczęliby się martwić. W szkole czytaliśmy o dziecku Lindbergha, jak ktoś wykradł je z jego pokoju. Może dziś w nocy będę spała przy otwartym oknie.

W końcu zmęczyłam się tą jazdą i późnym popołudniem odwiedziłam Thomasa J. Pojechaliśmy razem nad jezioro. Zobaczyliśmy, że gniazdo wciąż leży pod dębem, ale wokół nie było już żadnych pszczoł. Mimo wszystko wolałam tam jeszcze nie iść, nawet gdybym miała znaleźć swój pierścionek.

Pierścionek mógł zaczekać. Powiedziałam Thomasowi J., żeby nie brał tego gniazda, choć on zarzekał się, że jest puste. Nie byłam taka pewna i nie miałam ochoty znowu wskakiwać do jeziora. Nie teraz. Niech jeszcze poczeka.

Położyliśmy się na trawie koło wierzby i patrzyliśmy w niebo. Nad nami płynęły powoli wielkie, pierzaste obłoki, które co chwila zmieniały swoje kształty. Widziałam starca z brodą, jakieś dinozaury i żabę na liściu wodnej lili.

Thomas J. powiedział, że widzi Boga na koniu.

Boga? Skąd on wie, jak wygląda Bóg? Wruszył ramionami i roześmiał się.

— No dobrze, może to nie Bóg — powiedział.

Spojrzałam na niego i też się roześmiałam. Thomas J. to naprawdę bardzo miły chłopak. Po chwili zapytałam go:

— Jak myślisz, dlaczego ludzie się pobierają?

Thomas J. żuł źdźbło trawy.

— Myślę, że jak się dorośnie, to trzeba to zrobić i już — powiedział po zastanowieniu.

— Ja wyjdę za pana Bixlera — stwierdziłam.

— Nie możesz wyjść za nauczyciela! — protestował Thomas J. — To niezgodne z prawem.

— Nieprawda.

— Tak, jest taki przepis. A poza tym, nawet gdyby ci się to jakoś udało, to on musiałby ci dawać najlepsze stopnie, a to byłoby niesprawiedliwe.

— Baranie! — powiedziałam. — Ja nie chcę wyjść za niego teraz, ale kiedy będę dorosła.

— A jeśli nie zaczeka na ciebie? — zapytał Thomas J.

Wzruszyłam ramionami. Zaczeka. Jestem pewna. Westchnęłam.

— I wiesz co? — powiedziałam. — Mój tata dał Shelly pierścionek.

— Pierścionek? — Thomas podniósł się na łokciu

i spojrzał na mnie. — Jaki pierścionek? Taki co pokazuje nastroje?

— Nie. Zaręczynowy.

— Oni się pobierają?

Pokiwałam głową.

— Ho, ho! — położył się z powrotem na ziemi. — To świetnie! Będiesz miała też mamę.

Wyglądał na bardzo ucieszonego.

— Ale ja jej nie lubię — oznajmiłam.

— A ja tak. Jest naprawdę miła — odparł Thomas J.

— Tak, ale on ją lubi bardziej niż mnie — powiedziałam tak cicho, że ledwie sama się usłyszałam.

— Co? — zapytał Thomas J.

— Nic.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem zapytałam:

— Czy całowałaś kiedyś kogoś?

— Moją mamę.

Szturchnęłam go łokciem.

— Nie chodzi mi o to!

Roześmiał się.

— Wiem. Chodzi ci o coś takiego jak w telewizji — porząsnął głową. — Nie.

Przewróciłam się na brzuch, żeby nie mógł widzieć mojej twarzy. Wyrwałam kępkę trawy.

— Może powinniśmy się pocałować — zaproponowałam. — Tylko tak, żeby zobaczyć, jak to jest.

— Nie wiem — powiedział Thomas J.

Głos zadrzał mu nerwowo.

— Chyba lepiej nie.

— Spójrz. Spróbuj najpierw na swojej ręce. O tak.

Zaczęłam całować się w rękę przyciskając do niej mocno usta i cmokając jak w telewizji. Po chwili Thomas J. zrobił to samo.

— Dobra, wystarczy. Zamknij oczy — powiedziałam. Odsunął się ode mnie.

— Dlaczego? — zapytał. — Wtedy nie będę mógł nic widzieć.

— Rób, co ci mówię!

Podczołgałam się do niego po trawie i pochyliłam się nad nim.

Thomas J. zamknął oczy. Ale widać było, że nawet z zamkniętymi oczami denerwuje się, bo drżały mu powieki.

— Dobra — powiedziałam. — Będę liczyć do trzech. Jeden... dwa... dwa i pół... trzy...

Zamknęłam oczy, pochyliłam się nad nim i pocałowałam go prosto w usta. On też mnie pocałował. Przycisnął swoje usta do moich naprawdę mocno.

To było... jak...

Odkoczyłam od niego.

To było jak... no...

Thomas J. spoglądał na mnie, bardzo zdziwiony. Zrobiło się cicho i słychać było tylko cykady wśród drzew. Było naprawdę cicho.

— Powiedz coś — odezwałam się.

Przełknął ślinę.

— No... tego...

— Szybko!

Skoczył na równe nogi.

— Przysięgam wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — zaczął recytować.

Przyłożył sobie rękę do serca.

— I republice, którą ona reprezentuje, niepodzielnej, wolnej i sprawiedliwej dla każdego.

Wariat!

Ale oboje dostaliśmy ataku śmiechu, zanim jeszcze skończył. I ulżyło nam. Po czym, tego dokładnie nie wiem, ale na pewno poczułam ulgę, kiedy tak śmialiśmy się razem.

Zostaliśmy nad jeziorem jeszcze długo wygłupiając się i śmiejąc bez przerwy. W pewnej chwili Thomas J. chciał iść na poszukiwanie mojego pierścionka, ale powiedziałam mu, że nie ma mowy. W każdym razie nie ze mną. Oświadczyłam mu, że nie mam zamiaru w razie czego skakać znów do wody. Nie teraz.

Kiedy w końcu zaczęło się robić ciemno i Thomas J. powiedział, że jest głodny, postanowiliśmy wracać do domu. Gdy skręciliśmy w naszą ulicę, ostrzegłam go:

— Tylko żebyś nie pisnął nikomu ani słówka.

— Jasne, ale ty też nic nie mów — odpowiedział.

— Nie powiem. A ty?

— Słowo — obiecał i dodał — przepluwamy?

Wiedziałałam, że żartuje. Czasami to robiliśmy, kiedy byliśmy bardzo mali — pluliśmy na ręce i podawaliśmy je sobie. Fuj!

— To do jutra? — powiedziałam.

— Dobra. Cześć.

Rozeszliśmy się każde w swoją stronę, ale po chwili usłyszałam jak Thomas J. woła mnie.

— Vada!

Zatrzymałam się.

— Co się stało?

— Czy ty... — i urwał.

Odwrociłam się i zobaczyłam, jak patrzy na mnie, ale właściwie nawet nie patrzył, tylko zwiesił głowę, jakby zawstydzony.

— Czy ja co?
Pogrzebał w ziemi czubkiem trampka.
— Czy... będziesz o mnie myślała?
— Myślała o tobie? — zdziwiłam się. — A dlaczego?
— No, wiesz — powiedział. — Jeśli... jeśli nie wyjdiesz za pana Bixlera?
Uśmiechnęłam się. Tak, jasne. Na pewno.
— Dobrze, zastanowię się — obiecałam.
Odwróciłam się i popędziłam do domu. Nie chciałam, by widział, że się śmieję.

Rozdział XX

Kiedy zbudziłam się następnego ranka, nie wstałam od razu, tylko leżałam i rozmyślałam — takie jakby sny na jawie. To dziwne, jak czas wszystko zmienia. Jeszcze kilka dni temu było mi tak źle. Dostałam okres. Tata się żenił i nikt mnie nie kochał. Dzisiaj... no, może niewiele się zmieniło, ale nie było mi już tak smutno. Wciąż byłam zła na tatę i wciąż oczywiście nie chciałam, żeby się żenił. Ale stało się ze mną coś dziwnego.

Może Thomas J. Może to po prostu dorastanie. Może... dorastanie nie jest takie okropne, jak mi się zdawało. Zaczęłam nawet pisać o tym wiersz, to znaczy Odorastaniu. Nie byłam pewna, czy chcę go przeczytać na zajęciach w przyszłym tygodniu. Ale mogłam spróbować.

Leżałam tak jakiś czas i rozmyślałam, a potem wstałam i założyłam szorty i koszulkę. Pojadę do Thomasa J. i coś będziemy robić. Może teraz już da się poszukać mojego pierścionka.

Usłyszałam dzwonek na dole i otworzyłam drzwi od swojego pokoju. Myślałam, że to może Thomas J. już się zjawił. Ale to były jakieś dorosłe głosy, taty i kogoś innego — jakiegoś mężczyzny. Pewnie ktoś, kto chciał dostarczyć kolejnego nieboszczyka. Zamknęłam drzwi.

Byłam głodna i chciałam już zejść na dół na śniadanie, kiedy sobie o czymś przypomniałam. Moja rybka! Moja biedna rybka. Wciąż zapominam ją karmić. Wczoraj nic jej nie dałam.

Zajrzałam do niej. Nie pływała po wierzchu, ani nie łąpała kurczowo powietrza, chociaż woda była jakaś spieniona. Później ją zmienię. Ale nie teraz. Wzięłam jedzenie dla ryb i sypnęłam całą garść do wody. Świetnie, to powinno nadrobić wczorajsze zaległości.

I wtedy rozległo się pukanie do moich drzwi i wszedł tata.

— Vada? Czy mogę wejść? — zapytał.

— Oczywiście
odpowiedziałam.

Ale przecież już wszedł.

Podszedł do mnie i zjrzał do rybki. Ale nic nie powiedział. O co mu chodziło? Czy chciał mnie przeprosić za to, że krzyczał na mnie poprzedniego wieczora? Powinien. A może chce mi powiedzieć, że jednak nie żeni się z Shelly?

Kilka razy jakby próbował coś powiedzieć, ale zaraz zamykał z powrotem usta. W końcu zapytał:

— Co robisz?

— Karmię moją rybkę.

— Czy to ta rybka z festynu?

Westchnęłam. O, Boże. Czy myślał, że mam więcej rybek? Wiedział przecież, że nigdy wcześniej nie miałam żadnej.

— Rośnie — stwierdził tata, wciąż zaglądając do akwarium.

Oparłam się o parapet i założyłam ręce. No tak. Tata przyszedł mi oznajmić, że moja rybka rośnie... A mam ją dopiero od tygodnia.

Chciałam już powiedzieć: „Tato, mów, o co chodzi”, ale nie zrobiłam tego, bo właśnie w tym momencie spojrział

na mnie. O, rany. Coś niedobrego. W jego twarzy było coś takiego, że okropnie się zdenerwowałam.

Domyśliłam się. Chciał mi powiedzieć, że on i Shelly postanowili się pobrać natychmiast. Teraz. Dzisiaj. A może już się pobrali? Może to właśnie chce mi powiedzieć?

— Vada — powiedział tato odwracając się i siadając na moim łóżku. — Chodź, usiądź tu koło mnie.

Usiadł i klepnął w łóżko obok siebie. Nie poruszyłam się.

— Chodź — powtórzył i dodał — proszę cię.

Jego głos brzmiał dziwnie, jakby zdławiony, taki jak mój, kiedy staram się powstrzymać płacz. Coś się święciło. Coś się wyraźnie święciło i chyba miało mi się to nie spodobać.

Usiadłam koło niego z walącym serce.

— Vada — powiedział tato.

Przerwał i przyłożył sobie ręce do twarzy, potem wyprostował się, odchrząknął i zaczął znowu.

— Vada, coś się przydarzyło Thomasowi J. Nastąpił na gniazdo pszczół wczoraj wieczorem.

Pokręciłam głową.

— To baran! Mówiłam mu, żeby nie drażnił tych pszczół i zostawił to gniazdo w spokoju. Czy go pogryzły?

Tata pokiwał głową.

— Tak — przełknął ślinę. — Tak, pogryzły go.

Wstałam.

— Może powinnam pójść do niego i zrobić mu awanturę.

— Nie, kochanie — powiedział tata.

Chwycił mnie za ręce i ścisnął je mocno.

— Nie rób tego. Nie możesz.

— Nie mogę? Jak to nie mogę? — wyrwałam mu się. — Zaraz tam pójde.

Tata tylko potrząsnął głową. Miał jakiś dziwny wyraz

twarzy — cierpiący, smutny, jakby ktoś właśnie zranił jego uczucia. Nagle coś okropnego zaczęło się dziać w mojej piersi. Ale powiedziałam tylko:

— Pewnie, że mogę.

Tata wciąż kręcił głową.

— Dlaczego nie? — zapytałam. — Dlaczego?

— On był uczulony na pszczoły — powiedział bardzo cicho tata.

— Och! — roześmiałam się, to znaczy próbowałam się roześmiać. — On jest na wszystko uczulony. Wiesz co? On jest uczulony nawet na czekoladę. I wiesz co? W zeszłym roku...

Ale tata tylko pokręcił głową. Kula w moim gardle robiła się coraz większa. Z trudem przelknęłam ślinę.

— Tato? — zapytałam. — Ale nic mu nie jest, prawda?

Tata znów pokręcił głową. A potem spojrzał na mnie. Ale... przecież... to niemożliwe. Tato... płakał? Tato płakał?

— Tato? — krzyknęłam.

Byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam już się opanować.

— Tato?

Tato wstał i znów wziął mnie za ręce i przytrzymał je mocno.

— Było ich za dużo, Vada — powiedział. — Tak mi przykro, kochanie.

Wyrwałam mu się.

— Czego było za dużo? — zapytałam, a gardło miałam tak ściśnięte, że czułam, iż mi zaraz pęknie. — Czego było za dużo?

— Pszczół. Za dużo pszczoł. Thomas J. nie żyje. On umarł, Vada.

— Nie! Kłamiesz!

— Nie żyje. Nie żyje. Umarł. On umarł, Vada.

Ojciec próbował mnie przytulić.

— Nie dotykaj mnie! — wyszarpnęłam się. — Nie dotykaj mnie, ty kłamco! Dzieci nie umierają! Powiedziałaś, że te trumny nie są dla dzieci.

— Vada, proszę cię — uspokajał mnie tata. — Proszę, kochanie.

— Nie!

Chciałam uciec z pokoju, ale on zagroził mi drogę. Cofnąłam się pod ścianę, a on za mną.

— Proszę, Vada.

— Nie!

Byłam przy półce. Akwarium. Pokarm dla rybek. Chwycałam pokarm dla rybek i rzucałam w niego. Z całej siły. Rozsypało się wszędzie, po podłodze, na niego.

— Wynoś się! — krzyknęłam. — Wyjdź! Nienawidzę cię! Kłamiesz!

— Vada, proszę cię.

Odwrociłam się. Co robić? Dlaczego on mnie tak okłamuje?

— Nie!

Nie Thomas J.

Ojciec kłamał.

Nie Thomas J. Thomas J. jest moim przyjacielem.

Każdy umiera. Nie Thomas J. Nie.

Podniosłam akwarium. I cisnęłam je. Wylała się cała woda, tacie na buty, na podłogę. Razem z rybką.

Moja rybka umrze! Tam na podłodze. Zanurkowałam pod rękami taty i wybiegłam z pokoju. Moja rybka nie żyje. Zabiłam ją. Moja rybka nie żyje. Zbiegłam po schodach i wypadłam z domu. Dokąd? Dokąd iść?

Moje gardło. Tak mnie boli. Duszę się. Boli.

Doktor Welty! Doktor Welty.

Ale gdzie jest mój rower?
Nie mogłam znaleźć roweru.
W garażu. Czaszka do frenologii. Ha, Thomas J., nie
masz osobowości... Żadnej!
„Tak? Pokaż mi, gdzie jest tak napisane”.
Do doktora Welty.
Bez roweru. Biegłam, biegłam całą drogę.
Wpadłam do poczekalni. Doktor Welty stał przy
biurku i rozmawiał z panią Randall.
Moje gardło. Nie mogłam już znieść tego bólu.
— Vada! Co się stało? — zapytał doktor Welty.
— Nie mogę oddychać — wyjąkałam.
Dyszałam ciężko trzymając się za gardło.
— Duszę się. Niech pan mi pomoże.
Podszedł i podniósł mnie — wziął mnie na rękę.
Zaniósł mnie do gabinetu i położył na kozetce.
— Już wszystko dobrze — powiedział.
Cały czas powtarzał:
— Wszystko w porządku, wszystko dobrze. Oddychaj
głęboko. Spokojnie, już dobrze.
— Tak mnie boli, tak strasznie. Proszę, niech pan coś
zrobi, żeby przestało, proszę!
— Co boli, Vada? — zapytał cicho. —
Oddychaj
powoli i mów. Co cię boli?
— Żądła. Żądła pszczół. Nie mogę oddychać. O, Boże,
jak boli. Tak strasznie boli.

Rozdział XXI

Potem poszłam nad jezioro. Co mogłam innego zrobić?
I z kim? Doktor Welty chciał, żebym zaczekała, aż
przyjdzie po mnie tata, ale powiedziałam mu, że muszę się
przejsć. Obiecałam mu, że wrócę do domu. Ale najpierw
poszłam nad jezioro. Wspięłam się na wierzbę i długo
siedziałam tam wpatrując się w wodę.

Potem zrobiłam coś, czego nigdy przedtem nie robiłam:
wspięłam się wyżej i znalazłam niemal goły konar przy
czubku drzewa. Wyprostowałam się i zaczęłam iść po nim
jak linoskoczek.

Zrobiłam cztery... pięć... sześć kroków.

Thomas J. On byłby taki...

Jaki?

Nagle poślizgnęłam się i poleciałam w dół. W ostatniej
chwili przytrzymałam się którejś z dolnych gałęzi. Serce
zaczęło mi strasznie łomotać. Potem, bardzo powoli,
zeszłam na dół i postanowiłam wrócić do domu. Gdzie
miałam pójść? Co miałam robić? I z kim? Thomas J. On nie
umarł. To niemożliwe. Byłam pewna, że żyje. Oni kłamią.
Przecież jeszcze wczoraj bawiliśmy się razem.

Powiedziałam mu, że... może pomyślę o nim, jeśli nie
wyjdę za pana Bixlera.

Obiecałam mu.
Był moim bratem. Zawarliśmy przecież braterstwo krwi.
Do domu. Szłam do domu.
Thomas J.
Thomas J.? Ty wariacie.
Wróciłeś tam. Mówiłam ci, żebyś tego nie robił.
Wariat. Baran. Po prostu kretyn. Po co to zrobiłeś?
Zbieranie gniazd. Jesteś stuknięty, każdy ci to powie.
Później przyjdę do ciebie.
Tata kłamał.
Dzieci nie umierają. Sam tak powiedział. Niedługo wydobrzejesz. I pojedziemy wtedy na rowerach. Może nawet spróbujemy jeszcze raz tego, co wczoraj — wiesz, z całowaniem? Ale nie mów nic nikomu. Masz dotrzymać słowa.
Pamiętaj, bo chyba bym cię zatłukła. Spiorę cię tak, że... Wiesz, że mogę to zrobić. Siądę ci na plecach i będę podskakiwać — z całej siły, tak jak kiedyś.
Uczulony! Jak małe dziecko.
Ty nawet na czekoladę jesteś uczulony!
Nikt nie jest uczulony na czekoladę. Nawet Shelly to mówiła.
Czy powinnam pójść do Thomasa J.?
Gdzie ja jestem?
Rozejrzałam się. Byłam przed swoim domem. Tam stoi mój rower. Jak mogłam go wcześniej nie zauważyć?
Gdzie jest rower Thomasa J.?
Było tak cicho. Tylko cykady na drzewach. Polewaczka przyskała wodą na trawnik.
Otworzyłam drzwi i weszłam, mijając na schodach Shelly.
— Vada? — odezwała się i wyciągnęła do mnie rękę, ale byłam szybsza.

Wymknęłam się jej i pobiegłam do swojego pokoju zamykając za sobą drzwi na klucz. Musiałam porozmawiać z Thomasem J. Ktoś sprzątnął podłogę w pokoju. Nie było już ani wody, ani rybki, ani pokarmu dla rybek.

Gdzie jest moja rybka?

Gdzie?

Czy nie żyje?

Była za mała, żeby umrzeć. Dzieci nie umierają.

Gdzie jest Thomas J.?

Zostałam w swoim pokoju przez cały dzień, nie odzywając się do nikogo i z nikim się nie widząc. Nie wychodziłam nawet na posiłki, tylko czasem do łazienki.

Shelly pukała do moich drzwi mnóstwo razy i próbowała wejść, ale przecież zamknęłam je. Tata też pukał do mnie. Nawet wuj Phil przyszedł raz i zapytał, czy nie zejść na dół. Ale nie odzywałam się do nich. Nie mogłam.

Kłamali. Oboje kłamali. Wszyscy kłamali.

A jeśli oni tu przywiozą Thomasa J.? Nie mogli go tu przywieźć. A może?

O, Boże, proszę.

Tak strasznie boli.

Znów nie mogłam oddychać.

Pamiętałam, co mówił doktor Welty: oddychaj głęboko i wszystko będzie dobrze. Ale wcale nie było dobrze. Wcale.

Położyłam się na łóżku, bardzo ostrożnie. Coś może mi się stać, jeśli nie będę ostrożna. Trzeba bardzo uważać. Zrobiło się ciemno, a ja wciąż nie wychodziłam z pokoju.

Oni będą chcieli przywieźć tu Thomasa J. Byłam pewna. To było przecież jedyne takie miejsce. Ale nie mogą tego zrobić. Nie mogą go tu przywieźć! On się boi tego domu! Nie wiedzą o tym? Ciemności też się boi.

Jeść. Byłam głodna. Jeśli zjem coś, tak jak zwykle...

Shelly wcześniej prosiła mnie, błagała, żebym zeszła na kolację. A kiedy nie odzywałam się, powiedziała, że zostawi trochę jedzenia przed drzwiami mojego pokoju.

Wyszłam na korytarz i wzięłam tacę.

Mleko. Jabłko i rodzynki. I kanapki, moje ulubione, kurczak z ryżem. Z pomidorami.

Thomas J. jest uczulony na pomidory.

Zdjęłam pomidory i zjadłam z samym kurczakiem. Ale tak naprawdę nie chciało mi się jeść.

Nie wiem, ile minęło czasu. Jest już chyba noc, ale słyszę rozmowy. Słyszę... czy to nie głos mamy Tho-masa J.?

Pobiegłam do drzwi, otworzyłam je po cichu i zaczęłam nasłuchiwać. To była pani Sennett.

Chciałam zbiec na dół i zobaczyć, czy jest z nią Thomas J. Ale nie zrobiłam tego. Wiedziałam, że on nigdy nie przyszedłby tutaj, do tego domu. Musiał czekać na ganku. Zejdę i porozmawiam z nim. Później.

Zamknęłam drzwi i położyłam się na łóżku. Musiałam zasnąć, bo zbudził mnie jakiś głos, który mówił do mnie. Usiadłam. W pokoju było zupełnie ciemno, ale ktoś mówił do mnie. Shelly. To nie był sen. Ale przecież nie otwierałam drzwi. Nie mogła tu wejść. Wtedy zdałam sobie sprawę, że Shelly jest na zewnątrz i mówi do mnie przez drzwi.

— Vada? Vada? — powtarzała.

Nie odpowiedziałam. Do nikogo się nie odezwę. Tylko do Thomasa J., kiedy wyzdrowieje. Potem będę się też odzywać do Shelly i do taty.

— Vada, kochanie — powiedziała Shelly. — Proszę cię, zejdź na dół. Proszę. Zejdziesz? Siedzisz tam cały dzień. Musisz coś robić. Musisz wyjść, dobrze?

Nic nie muszę. Nic.

— Vada? Może zejdziesz na pogrzeb? Jest jutro. Czasami to pomaga, jak się pójdzie na pogrzeb.

Czekała na moją odpowiedź.

Pomaga? Co pomaga?

— Vada? — zaczęła znowu. — Chcę ci coś powiedzieć. Jeśli mnie nie chcesz wpuścić, powiem ci to przez drzwi. Masz tu rodzinę. Oni martwią się o ciebie. Masz tatę, wuja Phila i babcię. Ja wiem, że babcia nie czuje się dobrze, ale gdyby mogła mówić, powiedziałałaby ci, jak bardzo się martwi o ciebie. I wiesz co? Twój tata bardzo się tobą przejmuje. On po prostu nie wie, co ci powiedzieć.

I jeszcze, Vada, masz mnie.

Nie chcę ciebie.

Nie.

— Vada? — powiedziała znowu łagodnym głosem, niemal szeptem. — Wiesz, Vada, kiedy tu przyjechałam pierwszy raz, wcale mi się nie uśmiechało pracować przy nieboszczykach. Ale jak zobaczyłam, że tu jest rodzina... ja nie mam rodziny i pomyślałam, że jeśli będę tu pracować, to może czasem zaproszą mnie do siebie na kolację.

I potem staliśmy się rodziną... a przynajmniej chcieliśmy... Vada, rodzina jest najważniejsza. Wyjdź, proszę cię. Może pomożemy ci?

Ty mi pomożesz? Ty? Ty nie jesteś moją rodziną.

A dlaczego tata nie wie, co powiedzieć? Zawsze wie, co należy mówić, kiedy chodzi o innych. Ludzie ciągle przywożą tu nieboszczyków. Wtedy wie, jak trzeba rozmawiać.

Nasłuchiwałam jeszcze przez dłuższą chwilę, ale nic już więcej nie powiedziała. Mimo wszystko miałam nadzieję, że coś powie.

Ale zrobiło się cicho. Pomyślałam, że poszła sobie.

Rozdział XXII

Kiedy obudziłam się następnego dnia, było już całkiem jasno i usłyszałam, że na dole chodzą i rozmawiają jacyś ludzie. Wstałam i wyjrzałam przez okno.

Przed domem stał karawan. Musi dzisiaj być jakiś pogrzeb. To był duży karawan, taki, że zmieściłaby się w nim trumna dla dorosłego, a zatem to nie dla Thoma-sa J. Wtedy byłby mały. Dla dzieci.

Nie.

Zobaczyłam, jak do naszego domu wchodzi ludzie — wielebny Miles i pani Miles, oboje w czerni.

To głupie. Thomas J. nie cierpi czarnego koloru.

Słyszałam rozmowy, i tatę, jak wita wchodzących. A potem zrobiło się bardzo cicho. Przyłożyłam ucho do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać.

Z dołu dobiegał tylko monotonny głos wielebnego Milesa, taki sam jak w kościele, gdzie tata zawsze przy nim usypia. Czy to była modlitwa? Thomas J. modlił się, wiem o tym. Rozmawialiśmy na ten temat wiele razy.

— Nie ma słów, które mógłbym wypowiedzieć — mówił wielebny Miles — słów, które oddałyby smutek i ból, jaki czujemy po stracie naszego ukochanego Thomasa.

Ukochanego.

Gdzie on teraz jest? Czy tam w niebie czekają na niego konie? Czy będzie potrafił na nich jeździć? A jeśli jest na nie uczulony?

Wciąż słychać było wielebnego Milesa.

— Wszystkim nam kołacze się w głowach jedno słowo — dlaczego? Dlaczego Bóg zabrał nam tego chłopca?

Dlaczego? Dlaczego?

Teraz mogłam wyjść. Tata i Shelly są tam na dole i słuchają wielebnego Milesa. Nie zauważą, jak wyjdę.

Po cichutku uchyliłam drzwi. Podeszłam na palcach do schodów i usiadłam na najwyższym stopniu. Teraz już wyraźnie go słyszałam.

— Nie ma tu prostych odpowiedzi — mówił — ale pociesmy się myślą, że znalazł się pod dobrą opieką.

Pod dobrą opieką? Czyją? A jeśli się tam boi? A jeśli konie nie mają skrzydeł i upadnie? O tych obłokach mówiłam tylko tak, żeby coś powiedzieć. A jeśli to nieprawda i obłoki wcale go nie podtrzymają? Kto będzie go ośmielał, dodawał mu odwagi, tak jak ja?

— Chociaż zatem nie potrafię odpowiedzieć wam na pytanie „dlaczego” — ciągnął wielebny Miles — na pewno mogę wam powiedzieć, że Bóg wybrał Thomasa w bardzo szczególnym celu.

W jakim celu?

Zeszłam kilka schodków niżej, ale nie na tyle, żeby dojrzeć całą salę. Nie chciałam jej widzieć. Nie. Po prostu chciałam być ...bliżej.

— Musimy znaleźć pociechę w myśli, że Thomas jest teraz pod Bożą opieką — powiedział wielebny Miles. — A teraz odczytam fragment z Biblii i mam nadzieję, że doda on wam otuchy. Otwórzcie wraz ze mną Ewangelię świętego Mateusza, rozdział dziewiętnasty, wiersz trzy nasty.

Pod Bożą opieką?

Nie chcę, żeby Bóg się nim opiekował. Chcę, żeby Thomas J. był tutaj!

Po cichu wślizgnęłam się do sali i szybko rozejrzałam się wokół. Wszyscy pochylali się nad Biblią, szukając tego fragmentu i nikt mnie nie dostrzegł. Nie chciałam patrzeć, gdzie on jest — tam, w rogu pokoju, gdzie zawsze stoją trumny.

Dziecięca trumna.

Nie chciałam patrzeć. Ale spojrzałam. Musiałam.

Powoli podeszłam do niego.

Thomas J.!

Pochyliłam się nad nim.

— Masz taką spuchniętą twarz! — szepnęłam.

—

O, Boże, to musiało strasznie boleć! Jest taka spuchnięta. Przekłete pszczoły!

Cofnęłam się.

— Ty, baranie — szepnęłam. — Mówiłam ci, żebyś dał im spokój.

Wielebny Miles znów się odezwał.

— „Wtedy przyniesiono Mu dzieci, aby włożył na nie ręce i pomodlił się za nie: a uczniowie szorstko zabraniali im tego. Lecz Jezus rzekł: «Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie, do takich bowiem należy królestwo niebieskie...»”

Znów pochyliłam się nad nim.

— Chodź ze mną, Thomas J. — szepnęłam do niego. — Będziemy się wspinać na drzewa. Wejdziemy na wierzbę.

Nie poruszył się. Nie poruszył...

Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć.

— Twoja twarz... Czy strasznie bolało?

Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Nikt się nie modlił.

A tata i Shelly stali koło mnie.

— Vada — powiedział cicho tata.

Odwrociłam się do niego.

— Thomas J. musi iść ze mną — oznajmiłam.

Znów odwróciłam się do trumny.

— Chodź, Thomas J.

— Vada! — powiedział tato.

I wtedy coś zauważyłam — Thomas J.! Okulary. Nie miał na sobie okularów.

— Gdzie są jego okulary? — zapytałam taty.

—

Oddajcie mu okulary. On bez nich nic nie widzi. Załóżcie mu okulary i to już!

Tata wziął mnie na ręce i przytulił do siebie.

— Vada! — szepnął — jego już nie ma!

Spojrzałam na niego.

W sali było bardzo cicho.

— Miał zostać akrobatą — powiedziałam.

Tata puścił mnie.

— Proszę cię, kochanie.

Cofnęłam się przed nim.

— Nie — potrząsnęłam głową. — Nie, nie.

Wybiegłam stamtąd, na ulicę.

Thomas J. nie żył. Umarł.

Kiedy pierwszy raz obejrzałam się za siebie, tata szedł za mną, ale kiedy odwróciłam się znowu, już go nie było. Skreśliłam w jakąś ulicę nie wiedząc, dokąd idę i niemal wpadłam w objęcia pana Bixlera. Pan Bixler, z jakąś kobietą, wychodził właśnie z tego domu, który niedawno remontował.

— Vada! — powiedział trzymając mnie za ramiona i przykucnął przy mnie. — Nic ci nie jest? Właśnie szedłem do waszego domu. Tak mi przykro z powodu Thomasa J.

Przypomniałam sobie, co mówiła babcia. Śpiewać. Śpiewać.

— Para-ram, para-ram, gwiazdka świeci nam...

—

zaśpiewałam.

— Dobrze, Vada! — powiedział pan Bixler, wciąż trzymając mnie za rękę. — Jeśli chcesz, nie będziemy o nim mówić.

Przestałam śpiewać i wyrwałam mu się. Wszyscy milczeliśmy. Ta pani, która była z nim, wyglądała tak, jakby płakała.

Po chwili odezwałam się:

— Justin i Ronda powiedzieli, że powinnam mówić to, co czuję.

— Tak — powiedział pan Bixler.

Spojrzałam na swoje buty.

— Kocham pana — powiedziałam.

Podniosłam wzrok, a on patrzył na mnie z szeroko otwartymi oczami. Był zaskoczony.

Czy to było miłe zaskoczenie, czy nie?

— Kocham pana tak, jak mój tato kocha Shelly — powiedziałam. — I chcę mieszkać tu z panem.

— Wiesz, Vada, twój tato chyba bardzo tęskniłby

wtedy za tobą. Na pewno.

— Nie, nie tęskniłby — powiedziałam. — Ja nie mogę wrócić do domu.

Kobieta, która była z panem Bixlerem nagle wzięła go za rękę. Łzy ciekły jej po twarzy.

— Kim ona jest? — zapytałam.

— To jest Suzanne — odparł pan Bixler i zawahał się. Bierzemy ślub na jesieni.

— Bardzo ci współczuję, Vada — odezwała się Suzanne.

Popatrzyłam na nią. I na niego. Pobierają się. A zatem nie zwierzątko.

— Vada — powiedział pan Bixler. — Chcę ją zabrać na zajęcia w przyszłym tygodniu. Chcę, żeby usłyszała twoje wiersze.

Cofnęłam się.

— Ja też go bardzo lubiłem — powiedział pan Bixler. — Nie odchódź! Zaprowadzę cię do domu.

Ale mnie już nie było.

Aby dalej.

Donikąd.

Nie miałam gdzie pójść. I nie miałam z kim.

Pobiegłam nad jezioro, do wierzby.

Wspięłam się na nią.

Chciałam tu zostać. Jak długo? Nie wiedziałam... Może na zawsze. Może przez całe życie.

Może aż do śmierci.

A teraz już umierałam. Ale nie przez gardło. To było teraz głupstwo. Umierałam od czego innego.

Nie wiedziałam, jak to nazwać. To nie był rak. Ale wiedziałam, gdzie to jest — czy raczej, gdzie tego nie było. Właśnie tam — coś uciekło stamtąd, z mojej piersi.

Rozdział XXIII

Siedziałam na wierzbie bardzo długo. Bardzo długo. Zrobiło się ciemno i wyszedł księżyc. Słyszałam rechot żab i ryby pluskające w wodzie. A ja wciąż siedziałam. Kiedy w końcu poszłam do domu, to tylko dlatego, że nie wiedziałam, co mogę innego zrobić, dokąd pójść. Dziwiałam się, że jeszcze żyję, że jeszcze nie umarłam od tej dziury w piersi.

Thomas J. nie żyje. A on jest moim najlepszym przyjacielem. Ale ja żyłam. I nie wiedziałam, co mogę zrobić innego poza pójściem do domu.

Kiedy wchodziłam po schodach, było już zupełnie ciemno. Karawanu już nie było, ale przed samym domem stał wóz policyjny. Gdy weszłam na ganek, usłyszałam przez drzwi rozmowę Shelly i policjanta.

— Musicie ją znaleźć! — mówiła Shelly. — Robi się noc i ona nie może być sama po ciemku.

— Rozejrzemy się — powiedział policjant.

— Szukaliśmy jej cały dzień. Jej ojciec dalej jej szuka. Dziś po południu dzwonił jej nauczyciel. Była u niego.

— Tak, już nam pani to mówiła.

— Nie potrafię tak siedzieć tutaj. Ona ma tylko jeden dzień i umarł jej jedyny przyjaciel. Powinam...

Nie wiem, co powinna była zrobić. Ponieważ właśnie wtedy otworzyłam drzwi i przeszłam koło nich. A przynajmniej próbowałam przejść. Shelly chwyciła mnie za ramiona, przycisnęła do siebie i zaczęła kołysać. Nie wrywałam się. Byłam zmęczona.

— Vada, Vada, gdzie ty byłaś? Umieraliśmy ze strachu o ciebie, kochanie — ścisnęła mnie tak mocno, że aż mnie prawie zabołało, a potem spojrzała na mnie. — Czy

wszystko w porządku?

Pokiwałam głową. Nie.

— Dzięki Bogu — powiedziała Shelly i znów mnie uścisnęła.

— Cieszę się, że wszystko jest już dobrze — odparł policjant. I usłyszałam, jak wychodzi z domu.

Poszłam do mojego pokoju, a Shelly ze mną. Weszłam do łazienki i ona też. Umyła mi ręce i twarz, a potem została jeszcze przez chwilę, jak robiłam sikę i myłam zęby. Później poszła za mną do mojego pokoju, pomogła mi zdjąć ubranie i założyć piżamę, tak jakbym miała ze trzy lata. Nie opierałam się. Na nic nie miałam już siły.

Kiedy byłam już w piżamie, weszłam do łóżka, a Shelly okryła mnie kołdrą. Poprawiła ją ze wszystkich stron, jakby to była zima. To też mi nie przeszkadzało. Było mi wszystko jedno.

Gdy już byłam cała opatulona, Shelly usiadła przy mnie na łóżku i odgarnęła mi włosy z twarzy.

— Vada — powiedziała — twój tata tak się martwił. On cię naprawdę bardzo kocha. Tyle, że niektórzy ludzie nie potrafią okazać swoich uczuć.

— Ja powiedziałam panu Bixlerowi, że go kocham.

— To dobrze, dobrze, że to powiedziałaś.

— Ale on mnie nie lubi.

— Oczywiście, że cię lubi. Pewnego dnia znajdziesz kogoś, kto będzie czuł do ciebie to samo co ty do niego. Będziesz wtedy bardzo szczęśliwa. Na pewno.

— Powinam była powiedzieć Thomasowi J., że jest moim najlepszym przyjacielem. On mi to kiedyś powie dział. A ja jemu nie.

— Jestem pewna, że to wiedział.

Nie odzywałam się przez chwilę. Nie wiedziałam, czy mogę jej to powiedzieć, ale musiałam, musiałam choćby spróbować. Nic już nie miało zresztą wielkiego znaczenia.

— Shelly?

— Tak, kochanie?

— Ukradłam ci pieniądze ze schowka, żeby mieć na te zajęcia.

— Och, kochanie, nic się nie stało.

— Zwrócę ci — powiedziałam.

Nachyliła się i pocałowała mnie w głowę. Przycisnęła twarz do moich włosów.

— Po prostu zadedykujesz mi swoją pierwszą książkę — szepnęła — i zapomnimy o całej sprawie.

Potrząsnęłam głową.

— Już nigdy nie będę chodzić na takie zajęcia.

— Będiesz. Kiedyś w przyszłości. A potem dasz mi tę książkę z dedykacją, dobrze?

— Jeśli jakąś napiszę, to tak zrobię — powiedziałam.

Shelly siedziała i gładziła mnie po włosach, a ja po chwili zasnąłam. Ale kiedy obudziłam się, w pokoju nikogo nie było. A obudziłam się, bo usłyszałam tatę na dole.

— Czy ona tu jest? — zapytał.

A potem powiedział:

— Bogu niech będą dzięki.

Usłyszałam, jak biegnie po schodach na górę i otwiera moje drzwi. Po podłodze wpełzło światło z korytarza.

Słyszałam, jak podchodzi do mojego łóżka. Ale nie wiem dlaczego, nie mogłam na niego spojrzeć.

Stał tak przez dłuższy czas, tak długo, że już myślałam, iż poszedł. Ale potem nachylił się i pocałował mnie delikatnie w czoło. Usłyszałam, że wychodzi z pokoju.

Musiałam wiedzieć. Musiałam. Nic gorszego i tak już się nie mogło stać.

— Tato? — zapytałam. — Czy ja zabiłam moją mamę?

Tata odwrócił się gwałtownie.

— Co? — zdziwił się.

Usiadłam na łóżku.

— Pszczoły zabiły Thomasa J. A ja zabiłam moją mamę.

Tata podszedł do mojego łóżka i usiadł przy mnie. Przytulił mnie do siebie.

— Nie, Vada, to był przypadek. To nie była twoja wina. Jak może to być wina małego dziecka?

— Znalazłam coś — pogrzebałam pod poduszką i wyciągnęłam zdjęcie, które odkryłam w garażu.

Tata podniósł je do światła.

— Zapomniałem o nim — uśmiechnął się. — Gdzie je znalazłaś?

W garażu.

— To był jej ulubiony samochód — powiedział tato.

— Jaka była moja mama?

— Jaka była? Bardzo ładna, tak jak ty. I bardzo miła. Masz jej oczy. A jak lubiła się śmiać. Odłożył zdjęcie i poczochnął moje włosy. — Czasami, kiedy się śmiejesz, bardzo ją przypominasz.

— Naprawdę?

— Tak.

Kiedy się śmieję, bardzo ją przypominam.

Zapadła cisza, a potem tato powiedział:

— Wiesz, co zrobiła, jak się dowiedziała, że masz się urodzić?

Potrząsnęłam głową.

— Przyszła do domu i zaczęła malować twój pokój na różowo. Była pewna, że będzie miała małą dziewczynkę.

— Czy chciała mieć dziewczynkę?

Mnie?

— Tak, bardzo chciała.

— Czy brakowało ci... czy brakuje ci jej?

— Tak, bardzo długo. Jeszcze teraz robi mi się smutno, kiedy widzę jakiś piękny kwiat — najbardziej lubiła

dalej — albo kiedy widzę jeden z tych purpurowych

zachodów słońca i wiem, że twojej mamie bardzo by się podobało. I te piękne letnie albo zimowe noce, kiedy tak widać gwiazdy. Mama uwielbiała piękne rzeczy — znów poczochnął moje włosy. — Ciebie też by bardzo kochała.

— A ja chyba już zawsze, kiedy zobaczę wierzbę

płaczącą albo pancerzyki cykad, będę myślała o Thomasiu J.

Nagle tata mnie uściskał, tak mocno, że przez moment nie mogłam oddychać.

Ale ja go nie uścisnęłam.

— Bardzo mi przykro, Vada — powiedział tato i wdziałam, że płacze. — Nie pomogłem ci. Chciałem cię

trzymać od tego z daleka, ale okazało się, że nie potrafię. Pomyślałem — co ja ci mogę powiedzieć? Widzisz, tu co dzień przychodzą ludzie, kiedy umrze ktoś z ich rodziny. Przywożą ojców, matki. A nawet swoje dzieci. I wszyscy oczekują, że im pomogę, ale ja mogę im dać tylko kilka gładkich słów. Tobie chciałem dać coś więcej. Chciałem, żeby nigdy ci się to nie przydarzyło. Nawet kłamałem.

Powiedziałem ci, że... dzieci nie umierają. Oczywiście wie

działaś, że to nieprawda. Ale... chciałem cię jakoś osłonić. I nie potrafiłem. Nie wiedziałem jak. Ciągłe nie wiem.

Wciąż obejmował mnie i przytulał. I wtedy, powoli, ja też zaczęłam go obejmować.

Nawet poklepałam go delikatnie po ramieniu, tak jak to robiła mi babcia.

— Wciąż nie wiem, jak ci pomóc — powiedział tato. — Nie potrafię.

Znowu zaczęłam płakać. Płakałam, ale...

Tata przytulił mnie do siebie i delikatnie kołysał.

— Vada — powiedział — wiem, że Thomas J. nigdy tu nie przychodził i wiem dlaczego. Bał się tego miejsca. Rozumiem to. Ja urodziłem się w tym domu. Pamiętam swoje ósme urodziny. Moja mama przygotowała wielkie przyjęcie.

— Babcia?

— Babcia. Zaprosiła wszystkich moich kolegów, ale nikt z nich nie przyszedł. Wszyscy się bali — spojrzał na mnie. — Dlatego chyba wiem, co czujesz — co czułaś, kiedy Thomas J. bał się tu przychodzić.

Przez długi czas tata trzymał mnie w ramionach i kołysał jak małe dziecko. Jakby zupełnie zapomniał, że jestem już duża.

Chyba ostatni raz trzymał mnie tak, jak miałam ze cztery lata.

— Wiesz — powiedział cicho po chwili — muszę

ogłądać w tym domu setki pogrzebów. Kiedy to jest stary człowiek, mówi się, że miał wspaniałe życie. Ale kiedy ma jedenaście lat... wtedy nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak ci pomóc, dlatego nie powiedziałem wiele. Ale wiem, że to był błąd. Nie mogę go naprawić, ale...

Czułam jak tata cały drży.

— Przepraszam cię — powiedział. — To nie dlatego, że nie myślę o tobie. Po prostu nie potrafię tego zrobić lepiej. A bardzo chcę.

Nie. Nie mogłem tego zrobić lepiej.

Tata wyprostował się i uściśnął mnie jeszcze raz. A potem bardzo delikatnie położył mnie na poduszce.

— Jesteś dobrym dzieckiem i chcę, żebyś była szczęśliwa. Nie bądź taka jak ja.

Pocałował mnie w czoło i położył mi rękę na głowie.

— Jak twoje gardło? — zapytał. — Może powinnaś pójść do doktora Welty?

— Nie, to nic takiego — uspokoiłam go.

Tata wstał i podszedł do drzwi.

— Tato?

Zatrzymał się.

— To wcale nie tak źle być taką jak ty.

Rozdział XXIV

Lato już się prawie skończyło. Było bardzo złe, naprawdę niedobre. Żeby poczuć się trochę lepiej, czasami bawię się w coś sama ze sobą, udając, że Thomas J. po prostu wyjechał, może na letni obóz. I Shelly też mi pomaga, robimy razem różne rzeczy. I tata też. Tato pomaga mi, bo po prostu rozmawia ze mną. Tak jakbyśmy się teraz bardziej rozumieli.

Ale nie jest całkiem źle. Próbuję pisać. Judy ma mnie odwiedzić. A tata i Shelly pobierają się. Może jakoś to się ułoży. Jak powiedział Thomas J. będę teraz miała też mamę.

Babcia wciąż jest dziwna i wcale jej się nie poprawia. A wuj Phil... jest taki jak zawsze. I nie byłam już więcej u doktora Welty ani razu.

Zbliżały się ostatnie zajęcia z poezji, a nie chodziłam tam od czasu, kiedy umarł Thomas J. Ale napisałam pewnego dnia wiersz dla Thomasa J. i chciałam przeczytać go na zajęciach, zwłaszcza panu Bixlerowi. Ubrałam się po dorosłemu, w sukienkę, i poszłam.

Zów siedzieli wkoło na trawie. Specjalnie się spóźniłam, bo nie chciałam tam zostać, tylko przeczytać swój wiersz i wracać do domu.

Kiedy przyszłam, pan Bixler właśnie coś czytał. Przewalał w pół słowa i spojrzał na mnie.

Wszyscy odwrócili głowy w moją stronę.

— Miałem nadzieję, że przyjdiesz — ucieszył się pan Bixler.

— Cześć, dziewczyno, witaj znowu! — dodał Justin.

— Nie mogę zostać — oznajmiłam. — Przyszłam tylko przeczytać mój wiersz.

— Bardzo chętnie posłuchamy — powiedział pan Bixler.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

Nie ruszając się z miejsca, tak jak stałam, zaczęłam czytać:

*Wierzbo płacząca, co toczysz Izy,
Dlaczego stale łkasz i drżysz? Że
już go nie ma? Odszedł w dal?
Zostawił rozpacz, pustkę, żal.
Schronienie dawał mu twój cień
Wśród twych gałęzi bujał się.
Wierzbo! W pamięci ciągle masz
Ten śmiech radosny, co już zgasł.
Nie płacz już, wierzbo! Otrzyj łzy,
Jest coś, co wiemy ja i ty, Choć
go zabrała straszna śmierć Nic nie
rozdzieli waszych serc. Rozejrzałam
się.*

— To już koniec — powiedziałam. Nikt się nie odezwał, nikt mnie nawet nie pochwalił. Ale zobaczyłam, że wielu ludzi wyciąga chusteczki i wyciera sobie oczy. Justin pokazał mi znak pokoju. A pan Bixler miał łzy w oczach, których nawet nie próbował ukryć.

I wróciłam do domu.

Słońce przeświecało przez drzewa, ale tak z ukosa, słabymi promieniami. Wyraźnie nadchodziła jesień.

Zastanawiałam się, jak tam jest, tam, gdzie był teraz Thomas J. Czy tam naprawdę są konie ze skrzydłami i spada się na miękkie obłoki...

Kiedy podeszłam do ganku, otworzyły się drzwi i wyszedł tata z panią Sennett, mamą Thomasa J.

Nie chciałam się z nią widzieć. Ale stała przede mną i nie mogłam już uciec.

— Vada — powiedziała pani Sennett.

— Dzień dobry, pini Sennett — przywitałam się.

Wyciągnęła przed siebie rękę.

— Chciałam ci to dać. Thomas J. miał to przy sobie, kiedy... Trzymał to i gniazdo... Pomyślałam, że może chciałabyś to mieć.

Włożyła mi coś do ręki. Domyśliłam się, co to jest — mój pierścionek. On pamiętał! Kiedy wrócił po gniazdo, pamiętał o moim pierścionku! Spojrzałam na nią. I na tatę, który nam się przyglądał. Nie wiedziałam, co mam zrobić, co powiedzieć. Czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Pani Sennett to zauważyła.

— Byłaś dla niego taką dobrą przyjaciółką — powiedziała. — Mam nadzieję, że wciąż będziesz mnie odwiedzać.

Nie mogłam mówić. Pokiwałam tylko głową. Przyrzekłam. Pani Sennett poszła w stronę swojego domu. Otworzyłam dłoń i spojrzałam na pierścionek.

Nie był już czarny. Był teraz niebieski. Błękitny jak niebo!

Jak niebo!

Thomas J. Nagle... nagle wiedziałam już, gdzie on jest. Zbiegłam po schodach.

— Pani Sennett! — zawołałam.

Odwróciła się do mnie.

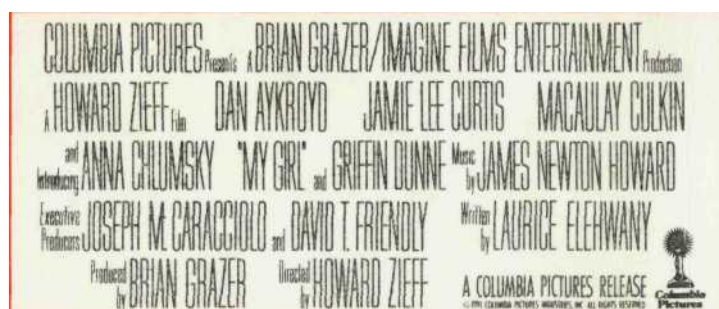
— Thomasowi J. będzie bardzo dobrze — powiedziałam. — Moja mama się nim zaopiekuje.

WYDAWNICTWO OPUS

Łódź 1992

Wydanie pierwsze. Ark. wyd. 8,5. Ark. druk. 10,25. Skład, druk i oprawę
wykonała Łódzka Drukarnia Dzielowa. Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.
Zam. 262/1100/92

Moja dziewczyna to wzruszająca, dowcipna i mądra opowieść o niezwyklej przyjaźni dwojga jedenastolatko w. Vada i Thomas J. — bohaterowie książki — próbują zrozumieć dziwny świat dorosłych, jednakże zdarzenia przerastają ich dziecięce, świeże pojmowanie rzeczywistości. Powieść powstała na podstawie scenariusza filmu pod tym samym tytułem, a odtwórcą głównej roli jest Macaulay Culkin — najpopularniejszy amerykański gwiazdor dziecięcy znany w Polsce m.in. z filmu *Kevin sam w domu*. *Moja dziewczyna* — film dla dorosłych i dla dzieci, wielki przebój kasowy — wkrótce na ekranach kin!



WYDAWNICTWO OPUS